



Wioletta Grzegorzewska

STANCJE



. . . a r c h i p e l a g i . . .

Wioletta Grzegorzewska

STANCJE



Copyright © by Wioletta Grzegorzewska, MMXVII
Wydanie I
Warszawa MMXVII

Spis treści

Motto

1. Halo, tu Wega

2. Masz na imię Anula

3. Witaj, śpiąca królewno

Nota

Przypisy

Próbowałam pokonać miasto, obracając je w projekcję własnych
bólów dorastania.

Angela Carter, *Ciało i lustro*

1. Halo, tu Wega

Do hoteliku Wega w Częstochowie jadę kwadrans przed zachodem słońca. Jest piątek, trzydziesty września 1994 roku.

Strugi deszczu spływają po szybach autobusu. Zmierzch się zabawia twarzami pasażerów, zmieniając je w szare, bezkształtne ameby. Kiedy kierowca gasi światło, tłum zlewa się w jedno i przypomina zdychającego walenia. Jego cielsko napiera, puchnie, parska wiechciami szczypiorku, pietruszki i kopru, które wystają z siatek. Zapach stęchłych kufajek, wełnianych swetrów i lotionów, którymi kobiety spryskują sobie włosy, przyprawia mnie o mdłości. Siadam na walizce i wyglądam za okno, gdzie słońce znika między topolami jak wchłonięta przez tafłę wody mątwą.

Nagle wydaje mi się, że z przodu autobusu widzę dawnego znajomego, pana Kamila, w którym zakochałam się w ubiegłe wakacje, a potem straciłam z nim kontakt. To na pewno on, myślę wzruszona i przeciskam się z walizką w jego stronę.

– Czy to pan? – pytam podekscytowana i dotykam palcami skórzanej kurtki.

– No jasne, że to ja, kotku – odpowiada obcy facet i puszcza do mnie oko.

Zawstydzona próbuję się odsunąć, ale autobus przechyla się na koleinach, a ja, zamiast zrobić krok w tył, ląduję policzkiem na jego klacie. Mężczyzna, który ledwo trzyma się na nogach, bo jest pijany, mruży lewe oko, wyciąga dłoń w kierunku mojej piersi, przez chwilę błądzi nią w powietrzu, jakby chciał odgarnąć niewidzialną kotarę, i zaczyna macać przednią kieszeń mojego plecaka, gdzie od rana dogorywa bułka z mielonym.

– Trzymaj łapy przy sobie, zboczony kanarze! – wykrzykuje jakaś pasażerka, która jest świadkiem całej sceny.

Na hasło „kanar” tłum się rozstępuje. Autobus przystaje na peryferiach miasta, a ja wypadam z niego jak ryba, która wyskoczyła z akwarium, i przytrzymując się wiaty przystanku, zachłannie łapię hausty świeżego powietrza.

Ubrana w kraciatą budrysówkę, rudy golf oraz za długie sztruksy, ciągnę walizkę poboczem jezdni, próbując wyminąć kałuże, które

tego wieczoru spina perłowy księżyc. Mgła unosi się nad łąkami i niweluje zapach spalenizny. Z oddali jak grzyb wyłania się ceglana wieża ciśnień. Mijam skład drewna, hale fabryczne, hurtownię sztucznych choinek, na której murze walczą o uwagę wyblakłe graffiti „Armia Radziecka z tobą od dziecka” i „Widzew rządzi”. Od strony centrum nadjeżdża, kolebiąc się w koleinach, wyładowana złomem wywrotka i ochlapuje mnie błotem. Za pożółkłymi platanami dostrzegam dwa piętrowe baraki pokryte blachą falistą. Na pierwszym wisi przymocowany drutem do pręta, odmalowany czarnymi gotyckimi literami szyld: „Papy wierzchnie. Papy podkładowe. Papy izolacyjne”; nad drugim majaczy różowy neon hotelu robotniczego Wega. Skręcam w jego stronę.

Na progu wita mnie jamniczka, obwąchuje moje zabłocone trampki i merda ogonkiem.

– To Adelka jest. Suczka nasza hotelowa – mówi Natka Roszenko; wydaje się jeszcze piękniejsza niż kiedyś. Opalona, z opadającymi na ramiona złotobrazowymi włosami wygląda, jakby ktoś ją wyciął z żurnala.

– Bałam się, że do nas nie trafisz. Ale co ty taka przestraszona jesteś, jakbyś ducha zobaczyła?

Wzruszam ramionami.

– U was na wsi wszystko dobrze?

– Tak. Dzięki.

– Bagaż możesz zostawić na stróżówce – mówi i wskazuje bude obitą białą dyktą. – Waldek!

W okienku jak w teatrzyku kukielkowym pojawia się i znika łyśa głowa ciecia.

Kiedy w hotelu robi się ciemno, stróż wstaje, piszczy klapkami kubota i naciska włącznik światła. Pełgają neonowe lampy, jaskrawość wylewa się na korytarz, rozprasza w luksferach, wsiąka w boazerie, krzywo przybite listwy i pozatykane gazetami dziury w ścianach.

Oślepią jarzeniowym światłem idę za stukotem szpilek Natki. Wchodzimy do pomieszczenia przypominającego magazynek sklepu tekstylnego – na meblościance, biurku i podłodze leżą zafoliowane

zakardowe bluzki, złożone w kostkę jutowe torby, pstrokate apaszki, papucie góralskie, lniane obrusy i rosyjskie słodycze. Natka przedziera się przez hałdę różnaitości i wzdychając, zrzuca z blatu pooblekane w rajtuzy nogi manekinów. Siadam na krześle naprzeciwko i z wrazenia zaciskam dłoń na stopie jednej z plastikowych nóg w siateczkowej samoprzylepnej pończosze.

– Herbaty się napijesz?

– Chętnie.

– Waldek, grzałkę oddaj! – krzyczy Natka przez uchylone drzwi i przesypuje z plastikowego pojemnika do szklanki trochę granulek herbaty malinowej, które w ciemnym arcorocu wyglądają jak trutka na szczury.

– Może od razu pokażę ci pokój?

Idziemy na drugi koniec korytarza, gdzie między łazienką a świetlicą znajduje się pokój, cela raczej, z plamami grzybni na ścianach, drewnianym stołem okrytym ceratą, krzesłem, zapadłym tapczanem, aloesem na parapecie, radiomagnetofonem Eltra Hania, dwudrzwiową gierkowską szafą, poszatkowaną naciekami rdzy umywalką, nad którą króluje podsuszona paprotka.

– No i jak? Wprowadzasz się? – pyta tak pewnym tonem, jakby się domyślała, że skoro dotelepałam się z walizką na koniec miasta, to raczej nie mam już zamiaru zawracać w nocy na dworzec. – Jeśli tak, czynsz biorę z góry.

– Może po starej znajomości coś byś opuściła? – pytam przekupnym tonem mojej matki, zadziwiając tym samą siebie.

Uśmiechnięta Natka rozsiada się wygodnie na krześle i założywszy nogę na nogę, zapala w szklanej fifce marlboro, po czym znika w serpentynach dymu.

– W zeszłym roku jedna studentka u nas mieszkała. Ze dwa tygodnie postudiowała, pobalowała na dyskotekach, a po pierwszym niezaliczonym kolokwium zwinęła się z Wegi bez zapłaty – mówi z obojętną miną pokerzystki i strzepuje popiół do wazonu, a potem znów staje się wyraźna. – A ja durna w baniaku zupę świeżą dla niej wozłam, żeby nie musiała jeść w tym gigancie-rzygancie, gdzie ponoć sody do gotowania dodają.

Zrezygnowana sięgam do torebki i podaję jej plik banknotów. Jesteśmy przed denominacją złotego, wygląda więc dość pokaźnie. Natka bez przeliczenia wrzuca go do torebki, a kiedy zegar z zezowatą Myszka Miki wskazuje ósmą, przegląda się w drzwiczkach meblościanki na wysoki połysk, przeczesuje dłońmi włosy i pociąga szminką pełne usta.

– Przepraszam cię, Wiola, ale muszę lecieć. Widzimy się jutro.

– Ale...

– Nie martw się. Waldek jest na miejscu, to wszystko ci pokaże. A, i zapamiętaj pierwszy sen na nowym miejscu, bo może się spełnić.

Zarzuca na ramiona czerwony płaszcz z kapturem i wychodzi.

Sen, o którym wspomniała Natka Roszenko, zawraca mnie na dworzec kolejowy w Częstochowie, gdzie przyjeżdżam przed południem, odsuwam drzwi wagonu, by wraz z tłumem podróżnych wyskoczyć na peron i przejść przez pasaż na plac od strony alei Wolności. Jest pochmurno, chociaż miało być słonecznie. Wiatr słaby. Przy strzelnicy zapachy spalin i kurzu niweluje fetor gnoju docierający z pobliskiej świniarni. Do płotu jak gumowe kaczkę przywierają ryjki warchlaków. Na placu, zwanym przez miejscowych Kwadratami, wybuchają siarkowe diabełki, dogorywają rozłożone na kocu mechaniczne pieski, jakiś dziadek śpiewa kolędy i rozdaje święte obrazki. Zapatrzona w miasto podszyte wsią kupuję kręcone lody z automatu i przeglądam się w kilku rzędach przeciwsłonecznych okularów wywieszonych na drucianych stojakach.

Kilkanaście minut później wysiadam z tramwaju i wchodzę do czteropiętrowego bloku przy Armii Krajowej, gdzie po korytarzach cuchnących wilgocią, starym papierem i papierosami snują się bladzi studenci. W dziekanacie odbieram indeks, spisuję plan zajęć i przy okazji zauważam, że mojego nazwiska nie ma na liście osób, którym przyznano miejsce w akademikach.

– No nie ma. Nic na to nie poradzimy, kochanieńka. Mieszkasz za blisko Częstochowy, a my mamy za mało miejsc w akademikach – mówi sekretarka. Połyka dwa ptasie mleczka naraz i oblizuje czekoladową obwódkę wokół ust, która poszerza granicę o jej wąsik.
– Możesz przecież wynająć stancję?

Nie odpowiadam, bo w obecności studentów, którzy stoją za mną w kolejce, nie chcę tłumaczyć, że po śmierci babci nie stać mnie na wynajem pokoju.

Opuszczam z ulgą budynek dziekanatu i szurając rozchwianymi kółkami walizki, idę wzdłuż torów tramwajowych do centrum miasta, zastanawiając się, gdzie by tu przenocować. Oczywiście mogłabym jeszcze złapać pociąg do Myszkowa, a stamtąd pojechać autobusem do mojej wioski, ale... Po pierwsze, kupując bilet powrotny, narażę mamę na dodatkowe koszty, po drugie boję się wrócić na Hektary, gdzie mogę ugrzęznąć na kolejne długie lata.

Na skrzyżowaniu dogania mnie wysoki blondyn w dżinsowej katanie z naszywkami. Wydaje się znajomy. Jego szaroniebieskie oczy na tle opalonej skóry twarzy wyglądają jak wypolerowane złotówki.

– Ej, gdzie idziesz z tą walizką?

– Przed siebie.

– Poznajesz mnie?

– Słucham?

– A nic. Piotrek jestem. – Podaje mi spoconą dłoń.

– Wiola.

– Daruj, że cię tak zaczepiam na ulicy, ale chciałem pogadać z kimś z naszego roku.

– Będziemy na jednym roku?

– Na to wygląda. Matka mnie namówiła, żebym złożył tu papiery, no i jak zwykle miała rację. Gdybym jej po maturze nie posłuchał, szorowałbym teraz szczoteczką do zębów kible w jednostce. Może skoczmy tu na kawę? – Wskazuje klockowaty dwukondygnacyjny budynek na rogu Armii Krajowej i Jana Pawła II.

W kawiarni popijamy nalewkę z suszonych śliwek, która udaje herbatę i kłócimy się o książki. Ja wolę *Władcę much*, on *Władcę Pierścieni*, ja *Burzę*, on *Buszującego w zbożu*. Kiedy rozmowa schodzi na ulubione filmy, nerwowo wiercę się na krześle i rozmazuję po laminowanym stoliku wuzetkę.

Nie mogę mu powiedzieć, że właściwie nie znam filmów, wychowałam się na polach, pół dzieciństwa spędziłam wśród zwierząt w oborze, na strychu i w chlewie, że telewizji nie oglądałam od lat, bo nasz stary rubin leżakuje w stołowym obok meblościanki na zapadniętej podłodze, a pokazy filmów wideo, które sołtys zorganizował w remizie, zakończyły się w pierwszym dniu prezentacji, bo ktoś ukradł wszystkie kasety, z jakiegoś powodu zostawiając tylko *Pamięć absolutną*, którą po kilku tygodniach wszyscy we wsi znali na pamięć, a mój bliski kolega, Starszy Lajboś, kleił to, znaczy wachał butapren i przemieniony w agenta z Marsa biegał po popegeerowskich polach i rozbrajał chochoły. Ostatni raz w kinie byłam kilka lat temu na jakimś radzieckim filmie wojennym

Nikity Michałkowa, tytułu nie zapamiętałam, bo byłam przejęta faktem, że widzowie powiatowego domu kultury wygwizdali występ mojego szkolnego chóru za wykonanie *Już za nami jest Lenino, gdzie bojowa dźwięczy pieśń*.

Wychodzimy z kawiarni. Na cyfrowym zegarze Energetyka miga czwarta. Żegnam się z Piotrkim pod kinem Wolność, zastanawiając się, co zrobić i gdzie przenocować, skoro nie znam nikogo w mieście i kiedy zamierzam już skapitulować, to znaczy zadzwonić do mamy, że nie dostałam akademika, rezygnuję ze studiów, wracam dziś wieczorem do domu i od poniedziałku wezmę tę pracę sekretarki, którą mi nagrała, przypominam sobie, że od kilku lat prowadzi na obrzeżach miasta hotelik robotniczy moja dawna znajoma z sąsiedniej wioski. Biegnę do budki automatu telefonicznego, która rdzewieje przy Megasamie. Wrzucam żetony i trzęsącymi się rękami wykręcam numer.

– Halo, tu Wega – słyszę głos Natki Roszenko.

A kuku, pobudka. Nie ma spania na wykładzie – dobiega mnie teatralny szept profesora Brankowskiego. Wzdrygam się na krześle, a studenci zgromadzeni w auli wybuchają śmiechem. Ten rechot przywraca mnie jawie. Wyrwana z drzemki, spoglądam na tablicę zabazgraną cyrylicą i orientuję się, że jest już poniedziałek, a ja znajduję się w budynku rektoratu na wykładzie z gramatyki historycznej.

– Przepraszam, panie profesorze, ale Rosjanie...

– Jacy znowu Rosjanie? – przerywa mi. – Coś się chyba pani przyśniło?

Zerkam na niego wystraszona i żeby nic już nie tłumaczyć, przytakuję, choć mogłabym przysiąc, że w nocy z niedzieli na poniedziałek, dygocząc z zimna pod kołdrą w nieogrzewanym pokoju Wegi, słyszałam rosyjskie głosy, śpiewy i krzyki, które nie pozwoliły mi zasnąć do rana. Profesor mruży szczerze oczka, kręci się przed katedrą, po czym zdejmuje tweedową marynarkę, wskakuje na ławkę w pierwszym rzędzie, gdzie siedzę, i prezentuje znaną z jogi pozycję kwiatu lotosu. Koleżanki milkną. Koledzy biją brawo.

Wybiegam z auli, próbując opuścić budynek rektoratu tak, by nie natknąć się na znajomych z roku, którzy planują chyba trzeci z rzędu wieczorek zapoznawczy w klubie studenckim Filutek.

Mija pierwsza, a ponieważ rano zjadłam tylko kanapkę z serem, robi mi się słabo. Przysiadam na ławce obok szatni i mrużę oczy. Szum rozmów, który wypełnia korytarze uczelni, działa na mnie otumaniająco. Po osiemnastu latach spędzonych we wsi, gdzie kilkoro przechodniów pojawiających się w ciągu dnia na kamiennej drodze można by nazwać zbiegowiskiem, tłum kojarzy mi się z pochodami na poświęcenie pól, procesjami na Boże Ciało i konduktami żałobnymi, które jak czarna liszka wiły się błotnistymi drogami w chmurze wapiennego pyłu.

– Nie idziesz z nami do Filutka? – zagaduje Piotrek, który od dnia spotkania w dziekanacie nie odstępuje mnie na krok, nosi mój plecak i siada przy mnie na wykładach.

– Muszę dziś wcześniej wrócić.

– Gdzie?

– Na stację. – Próbuję się wykręcić, bo wcale nie mam ochoty na grupowe wypady. Po pierwsze brakuje mi pieniędzy, po drugie w towarzystwie rówieśników czuję się nieswojo. Lepiej niż przeboje emtiwi znam dzieła zebrane Szekspira, polską, francuską i przede wszystkim rosyjską klasykę, którą po upadku Peerelu ojciec przynosił do domu na kilogramy z działu makulatury myszkowskiej papierni, gdzie pracował. O seksie, jak na nastolatkę wychowaną na wsi, teoretycznie wiem sporo, to znaczy mniej więcej tyle, ile wyczytałam w *Sztuce kochania* Wisłockiej, *Zwrotniku raka* Henry’ego Millera i *Pamiętniku Fanny Hill* plus wiedza czerpana z opowieści wujów przy stole, po paru głębszych. W praktyce mam za sobą tylko kilkanaście skróconych lekcji udzielonych mi przez Natkę Roszenko oraz przypadkowo spotkanych mężczyzn, w tym czterdziestoletniego instruktora tańca, którego poznałam w przedostatnie ferie zimowe i dla którego chodziłam pięć kilometrów przez zasy do gminnego ośrodka kultury.

Po śmierci krawcowej Stasikowej, która szyła mi ubrania, wreszcie ubieram się po swojemu, czyli na przekór modzie i mamie dość awangradowo. Tlenię sobie pasemka, wplatam we włosy pióra, rzemyki, noszę jaspisowe amulety, drewniane wisiorki, bursztynowe korale; przepadam za barwami ziemi: brązami, brudnymi fioletami, miedzią, zgniłą zielenią; naturalnymi materiałami: bawełną, sztruksem, lnem; za szydełkowymi narzutkami z włóczki, wełnianymi swetrami, długimi spódnicami, dzwonami, kwiecistymi kamizelkami. Od przyjazdu do Częstochowy sama włóczę się po mieście, zaglądam do antykwariatów, sklepów indyjskich i lumpeksów, gdzie czytam metki na starych ubraniach, wącham farby w sklepach dla artystów i w brulionie z żonkilem z Wrocławskich Zakładów Papierniczych piszę opowiadania: o Marii Skłodowskiej-Curie, która była patronką mojego ogólniaka, o ludowej malarce Séraphine Louis, o zmarłej na chorobę popromienną Sadako z Hiroszimy, i przesiaduję w czytelni z nadzieją, że gdzieś spotkam pana Kamila.

– Luz... jak sobie chcesz – mruczy obrażony Piotrek, którego cień

pada na plakat o nowo założonym Uniwersytecie Trzeciego Wieku.
– Wygląda na to, że nas unikasz.

Siada przy mnie i podaje mi prince polo.

Idziemy na Wały Dwernickiego, gdzie przy straganach w ciągu kilkunastu minut dowiadujemy się najważniejszych wieści z kraju i świata: że na Ukrainie rozprzestrzenia się epidemia cholery, na którą zachorowało już ponad trzysta osób, o katastrofie promu Estonia, który w środę wypłynął z Tallina do Szwecji i nad ranem poszedł na dno Bałtyku z osiemset pięćdziesięcioma ofiarami, o Jezusie z Ohio, który ukazał się na górującym nad miastem zbiorniku oleju sojowego, i o grzybach mutantach z lasów Olesna, których ponoć nie można kupować, bo po Czarnobylu skażone cezem świecą, wreszcie o podwyżkach cen chleba, nabiału i kawy.

– Patrz pan – zwraca się kwiaciarka do mężczyzny z warzywniaka, który w pomiętej bordowej wiatrówce wygląda jak chodząca kielbasa krakowska. – W zeszłym tygodniu masło kosztowało szesnaście tysięcy złotych, a po trzech dniach dziewiętnaście. Strach pomyśleć, co będzie dalej.

– Pani kochana, to pikuś. Trzeciego października akcyza na alkohol idzie w górę aż piętnaście procent. No na ten przykład taka stołowa będzie kosztować osiemdziesiąt pięć tysięcy złotych.

– Daj pan spokój. Co jak co, ale żeby gorzałka tyle kosztowała? – Kwiaciarka zasepia się i wraca do skręcania róż z liści klonu.

Za ostatnie pieniądze, które mama dała mi z renty dziadka na utrzymanie, kupuję dwa chleby razowe z pestkami dyni, serek fromage o smaku pieczarkowym, pomidora i mieszankę studencką. Na straganie obok kabaczków, dyń i chryzantem dostrzegam ciemnozieloną, nakrapianą żółtymi plamkami roślinę, która w październikowej mżawce wygląda jak obcięty ogon aligatora.

– To tykwa – mówi sprzedawca kielbasa krakowska. – Weźcie ją sobie za darmo. Ja i tak za godzinę zmywam się z bazaru, bo mnie w kościach szczyka.

– Ale... – oponuję.

– Ja ją wezmę. Matka się ucieszy – mówi Piotrek i pakuje tykwę do reklamówki z napisem World Cup USA 94. Niosąc ją na zmianę

jak świeżo wyklute krokodylątko, włączymy się po Alejach, zaglądamy do sklepu z torbami Żyrafa, potem znów krążymy po centrum od liceum Sienkiewicza aż do Jasnej Góry, gdzie według lokalnej legendy ciągnął się podziemny loch.

– Na Biegana, dokładnie tu, gdzie teraz nieświadomie przystanęłaś, jakbyś zobaczyła jakąś przeszkodę, Wania kiedyś stał na wysokim cokole – odzywa się Piotrek. – Mówili, że Wania pilnuje srania, bo niedaleko był podziemny szalet miejski.

– Wania?

– Żołnierz w rozwianej pałatce, z pepeszą i gałązką oliwną. Ponoć po osiemdziesiątym dziewiątym było duże parcie, żeby się go pozbyć, no i na Światowe Dni Młodzieży już go chyba nie było. Do koleżanki mojej matki, która pracowała w biurze poselskim, przychodził facet, lotnik bitwy o Anglię, z takim pomysłem oszczędnościowym, żeby odciąć Wańce pałatkę i oddać ją Piłsudskiemu. Ostatecznie marszałek dostał własny płaszcz, a po Wańce został taki wierszyk: „Stoi sobie żołnierz na wysokim słupie, przodem do kościoła, prezydium ma w dupie”.

Waldek uchyla oklejone mapą nocnego nieba drzwiczki stróżówki i z dumą prezentuje ułożoną kostkę Rubika.

– Uszanowanko. Całuję rączki. Patrz, dziś udało mi się w godzinę. Kiwam z podziwem głową.

– Wspaniale. Ja potrzebuję na to pół dnia.

– Ale, ale, co studentka dziś taka markotna?

– Ścisk był w autobusie.

– O tej godzinie zawsze jest sodoma i gomora. Widziałaś po drodze, studentka, ile tu zakładów pobudowali: sortownię śmieci, rozlewnię wód, hurtownię ozdób choinkowych i co tam jeszcze. Medaliki tak się rozkręciły, że czasem trudno za nimi nadążyć, ale jak wejdziesz w bramę, to taka sama rozpierducha jak kiedyś. Kiedyś tutaj kończyło się miasto. Pekaes zatrzymywał się na Żyznej i z przystanku do fabryki szło się jeszcze kilometr. Było zresztą tylko kilka kursów: rano i po południu. Ale to wszystko nic, studentka. Ponoć pod tymi barakami była kiedyś sieć schronów, które wybudowali w czasach zimnej wojny, a do jednego z nich... – Tupie klapkiem w podłogę.

– Waldek – przerywam mu, bo z głodu ledwo trzymam się na nogach. – Natka wspominała coś o zupie na kolację?

– Tak mówiła? – Wstaje dość niechętnie. – To już się robi. Tylko grzałkę z jej biura przyniosę.

Wychodzi z pękiem kluczy i kulejąc, idzie na drugi koniec korytarza do biura Natki, a kiedy wraca, pokazuje mi dwie żółte torebki chińskich zupiek.

– Krabowa czy złoty kurczak? Którą, studentka, wolisz?

Wybieram pierwszą lepszą, wiedząc, że smakują identycznie, a potem siadam na taborecie i rozglądam się po pomieszczeniu, w którym głównym motywem wcale nie są, jak mi się na początku zdawało, zwisające kable, odłamek lustra wiszący nad zlewem, pędzel, pasta do golenia, paczka żyletek Polsilver czy kolekcja puszek po piwie, tylko przyklepione do słomianek proporczyki zachodnich klubów piłkarskich oraz kartki pożółkłego pisma astronomicznego.

Waldek płucze dwa kubki w zlewie i wysypuje do nich zawartość

torebek; kiedy w rondelku zaczyna bulgotać woda, zalewa je wrzątkiem. Gdy sprężynki makaronu puchną, a po kanciapie roznosi się zapach sosu sojowego, podaje naszą kolację na metalowej pokrywce po bombonierce.

– Ostre, nie?

– Jak diabli.

– Wszystkie grzechy nam wypali.

– A co to? – pytam nieśmiało, wskazując różę wytatuowaną na jego lewej dłoni.

Waldek milknie, wychlipuje resztę zupy i wyciera usta rękawem tureckiego swetra.

– Szkoda gadać, studentka. – Macha ręką. – Stare dzieje. Za młodu rozrabiaką byłem, ale nie dziwota, skoro bez matki się chowałem pod Częstochową. No i w końcu nawywijałem i wylądowałem najpierw na śledczaku nad Sekwaną, a potem na Herbach, a jak mnie wypuścili, dostałem robotę na hucie i tak zostałem medalikiem. Na początku mieszkałem na trójkącie bermudzkim, gdzie szybko mi podreperowali klawiaturę. No wiesz, wyszczekany byłem małolat, to dostałem po mordzie i wybili mi zęby.

– Gdzie jest ten trójkąt bermudzki?

– Na dzielnicy cudów, między Małą, Mokrą i Stawową. Za komuny cały element tam umieszczali, żeby go mieć pod kontrolą. Jak mieszkałem na Krakowskiej, to na Małej wolałem się nie pokazywać. Ale raz, jak jeszcze śpikiem byłem, wujostwo wysłało mnie na metę po spiryt. Wchodzę do sutereny, gdzie jak myślę, pan Bobas mieszka, a tam klepisko, rozumiesz, na szmatach leży goła baba, leży i się nie rusza. Myślę sobie, żeby od razu spierdolić, bo kłopotów nie chcę, ale baba jednak zmartwychwstaje i skacze do mnie z trzepaczką do ubijania ciasta i na golasa goni mnie po ulicy.

– Lubisz astronomię? – zmieniam temat, krztusząc się ze śmiechu.

– A tak trochę. W kiciu mi się nudziło, to zacząłem czytać to i owo, a jakieś trzy lata temu kupiłem sobie w antykwariacie na Kopernika całą prenumeratę „Uranii”. – Rozbłyskują mu oczy i niespokojnie porusza się na twardym taborecie, bo ma wszyty w tyłek esperal. – Przyniosłem je do stróżówki, żeby se czasem

poczytać. – Odpina ze słomianki kartkę z bazgrołami na marginesach. – Zerknij tu, studentka. – Zakłada okulary i otwiera numer z drugiego października trzydziestego ósmego roku. – „W ciągu pierwszych czterech miesięcy zjawilo się na niebie aż pięć komet” – czyta. – „Zobaczymy, co przyniosą następne miesiące”. – Spogląda na mnie znacząco, ale ja nie od razu pojmuję, o co mu chodzi. – Pięć komet i roje meteorytów tuż przed wybuchem drugiej wojny! Łapiesz?

– Tak. Chyba tak.

– Ten, co to napisał, niejaki Antoni Czubryński, był astralistą i polskim masonem, a jego żona miała w jednym palcu okultyzm, chiromancję, grafologię, kabałę, wierzenia azjatyckie i co tam jeszcze. Ich córka została wróżką.

Zaskoczona jego wiedzą, z podziwem kiwam głową.

– Pięć komet w ciągu jednego półrocza!

– I rój meteorytów!

– Spójrz tu, studentka. – Drżącą ręką wyciąga rozpadającą się stronę z tysiąc dziewięćset dwudziestego. – Ludzie wtedy jeszcze nie znali Plutona, rozumiesz, bo odkryją go dopiero za dziesięć lat, a ci już rozprawiają o pozaneptunowej planecie. Dobrzy są skubańcy, nie? A tu masz kawałek o kanałach na Marsie.

Z wrażenia wypuszczam kubek z rąk i resztki zimnej zupy plamiam sztruksy, które dopiero co wyprałam w umywalce, ale nie zwracam na to uwagi. Wzruszona zerkam to na rycinę przypominającej nicienia komety Orkisz, to na spoconą od gorącej zupy twarz Waldka, który kojarzy mi się z moim nieżyjącym ojcem. Tata był preparatorem zwierząt, pszczelarzem i wędkarzem. Oglądając albumy przyrodnicze, całymi godzinami opowiadał mi o rzadkich gatunkach ryb i ptaków, a potem z rozkoszą je łapał i zabijał.

Leżę z jamniczką na tapczanie i podjadając paluszki z makiem, gapię się na październikowe niebo.

– Piękne jest? – zwracam się do Adelki, która zdaje się mnie rozumieć, bo skacze na parapet, układa się obok doniczki z aloesem i podnosi czarny nosek. Ktoś tam sypnął brokatem, podziurkował kosmicznym młotkiem denko, wygnał chmury świetlików z czarnej dziury, myślę, czując się przez chwilę jak żuk gnojarsz, który ma tak słaby wzrok, że niewiele widzi wokół siebie, ale porusza się zgodnie ze światłem Drogi Mlecznej.

Z „Uranii” dowiaduję się, że konstelacje, które widać na niebie, może już nie istnieją, bo są oddalone od nas o bilion lat świetlnych, a astralistyka nie ma nic wspólnego z horoskopami. To nauka o kulcie ciał niebieskich w dawnych mitach. Potem czytam starą huculską legendę o św. Jerzym, który siedzi na księżycu i grą na skrzypcach poskramia wilki, potem o teleportowaniu się za pomocą promieniowania podczerwonego, kanałach na Marsie krzyżujących się według powtarzających się wzorów, jakby były wytworem istot rozumnych, o budowie Drogi Mlecznej i mgławicach według teorii Lindblada:

„Wyobraźmy sobie mieszkańca wyspy pokrytej gęstym lasem, niemogącego z jakichkolwiek powodów ani opuścić swego lądu, ani się poruszać swobodnie w jego obrębie. Oczywiście, nieszczęśnik taki nie będzie wiedział, jak jego wyspa wygląda. W podobnej sytuacji znajdujemy się w naszym świecie-wyspie, czyli galaktyce, w której wnętrzu tkwimy bez możliwości swobodnego poruszania się, z widokiem na dalsze, a zwłaszcza centralne okolice galaktyki zasłoniętym przez chmury nieprzezroczystej materii”.

– Chmury nieprzezroczystej materii – powtarzam na głos, wpatrzona w sufit, gdzie kreślą ósemki dwie tłuste muchy, jesienne niedobitki. Rycina Drogi Mlecznej kojarzy mi się z muszlami winniczków, które jak szalone wytrącały się z wapiennych gruntów w mojej wiosce w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, gdzie się urodziłam i wychowałam.

Odkładam „Uranie” na linoleum obok śpiącej Adelki, myśląc o tym, że stuletnie zdjęcia białych i ciemnych mgławic

w gwiazdozbiornie Oriona na pewno spodobałyby się mężczyźnie, z którym straciłam kontakt w sierpniu, a za którym bardzo tęsknię.

Pan Kamil był doktorantem etnografii i od wiosny zeszłego roku przyjeżdżał fiatem z Częstochowy na Hektary do mojego dziadka spisywać pieśni i podania ludowe. Pewnego czerwcowego popołudnia zaczął mnie na podwórku i spytał, czy nie zaprowadziłabym go w kilka miejsc, gdzie mógłby zrobić zdjęcia. Ochlapałam buzię pod szlauchem, przygłodziłam rozwichrzone włosy i ku zgorszeniu matki, babki i sąsiadki poprowadziłam go ścieżką przez skoszone pola za krzaki jałowca, gdzie kiedyś płynęła rzeka i kwitły dziewięciły bezłodygowe.

Łąka przy dzikich kopalniach kamienia wapiennego pachniała tak intensywnie kwiatami poziomek, aż zakreśliło mi się w głowie. Nie zważając na upomnienia matki, która kazała się zachowywać przy ludziach „jak na pannę przystało”, położyłam się w pustej żelbetonowej rynnie, porzuconej w latach osiemdziesiątych przez budowlańców na miedzy przy pegeerowskich polach i zerkałam na niebo przez wnętrze muszli winniczka. Pan Kamil usiadł nieopodal, na marglowej skałce i pstrykał zdjęcia, podśpiewując pod nosem nieznaną mi pieśń ludową o dziewczynie, która pasła na łące pawia.

Po obejrzeniu w świetlicy wieczorynki wracam do pokoju i potknąwszy się kolejny raz o walizkę, postanawiam się rozpakować: wycieram jednorazową chusteczką stół, parapet i półki w szafie, gdzie w kilkanaście minut rozkładam bieliznę, rajstopy, kosmetyczkę z kremem Bambino, szczoteczką do zębów, pastą, tuszem do rzęs, resztką pudru Constance Carroll i podpaskami. W miejsce przykurzonych plastikowych róż wstawiam do wazonu bukiet wrzosu, który zebrałam w rowie przy drodze do hotelu i zadowolona kładę się na wersalce. Mój pierwszy w życiu własny pokój i to w hoteliku o nazwie najjaśniejszej gwiazdy, myślę i kiedy nagły przypływ szczęścia zaczyna mnie usypiać, na korytarzu dudni znany mi ze studniówki i wesel przebój *Wheel of Fortune* Ace of Base: *What are you gonna tell your dad? It's like a wheel of fortune.* Skaczę na równe nogi i wyglądam z pokoju. *And what you gonna tell your dad if this wheel lets you down?*

Ze świetlicy wybiega mężczyzna w rozchełstanej kraciastej koszuli i gna na piętro. Za nim podąża, zataczając się, drugi, podobny do pierwszego, z podbitym okiem, ubrany w błękitno-fioletowy dres z kreszu.

– *Siergiej! Siergiej, źdi mienia!* – ryczy. – *Ja nie chotieł!* – Przytrzymując się barierki, próbuje wspiąć się na schody, ale zatacza się i spada z kilku stopni na ubłoconą wycieraczkę. Jakby tego było mało, ze świetlicy wygląda ufarbowana na wściekły blond kobieta w papierowych papilotach na głowie, ubrana w welurowy szlafrok.

– Aleks? Wy żywiotie? – pyta i trąca leżącego haftowanym bamboszem.

Mężczyzna nazwany Alekssem siada na podłodze i czka. Kobieta chichocze, macha ręką i wraca do świetlicy, skąd wciąż dobiegają strzępy piosenki Ace of Base, przeplatane dialogami z rosyjskiego filmu. Myślę, żeby się wycofać do pokoju, gdy nagle z piętra zaczynają spadać wypatroszone z poszewek poduszki, kołdry, białe, jakby pociągnięte wapnem kielbasy salami, ubrania i mokasyny.

– *Paszoł won. Ja nie choczū żyt' s toboj w odnoj komnatie!* – krzyczy Siergiej.

Aleks potulnie zbiera porozrzucane rzeczy, wdrapuje się na szczyt

schodów, skręca na piętro i znika w ciemnym korytarzu.

– Waldek! – Pukam do stróżówki i zerkam na ciecia, który z błogą miną obiera kozikiem jabłko.

– No co tam, studentka – odpowiada tak spokojnie, jakby nie widział sceny, która rozegrała się na korytarzu Wegi.

– Może byś zadzwonił?

– Gdzie?

– Na policję?

– Za Chiny Ludowe.

– Ale oni się pozabijają.

– A co ja się będę... – Macha ręką. – Nie martw się, studentka. Bliźniaki zawsze tak dokazują, jak wrócą z bazaru przy Promenadzie. Pogonią się, zmęczą, dopiją, co mają dopić, i pójdą spać.

– A co to za jedni?

– Ruskie, co po rynkach handlują. Siergiej i jego brat bliźniak Aleks. Równe chłopaki.

– A ta w papilotach?

– To Ludmiła, daleka krewna naszej kierowniczkii. Niedawno przyjechała i pracuje w pawilonie dawnej Adrii, ale nie pytaj mnie, co tam robi, bo nie wiem.

– A gdzie jest ta Adria?

– Adria jest, znaczy się była, przy Armii Krajowej, tam gdzie do szkoły jeździsz. Jakżem się do medalików sprowadził, to był najlepszy dancing na mieście. W niedzielę od dziesiątej serwowali tam na patio piwo. Można je było nabyć tylko z zakąską, takim koreczkiem, który się składał z żółtego sera posmarowanego masłem i posypanego ostrą papryką. W jednym miejscu, rozumiesz, odbierało się taki koreczek, ale nie można go było zjeść, bo bufetowa, żeby sprzedać piwo, musiała go w ręce klienta zobaczyć. No to panowie stali grzecznie w kolejce z tą swoją zakąską. Do jednego koreczka przysługiwały dwie butelki piwa. Któregoś dnia wpadam tam po robocie, patrzę, a na scenie, zamiast striptizerki, płasa półgoły kolo. Już zamierzam wyjść, bo żadna to dla mnie atrakcja, ale przyglądam się uważnie i nie wierzę własnym oczom.

Toż to mój ziomal, Jurek Siwy, we własnej osobie, który zawsze się reklamował jako demon seksu. Nie wiem, czy tego wieczoru był zmęczony, czy dla kurażu łyknął za dużo, ale zaplątał się we własne majtki i wylądował jak długi przy stoliku, gdzie jakiś ważniak jadł galarete z nówek. Wszyscy zamierają. Dyrektor Adrii ucieka na zaplecze. Czerwony pająk odkłada widelec, wstaje z krzesła, bierze się pod boki i mówi: Panie Rocco! No panie Rocco!

Wracam do pokoju, wieszam zwilgotniałe ubranie na krześle i próbuję się umyć w umywalce, ochlapując przy okazji cały gumolit, bo nie mam odwagi wyjść na korytarz do niezamykanej łazienki, przebieram się we flanelową piżamę i podjadając mieszankę studencką, do północy piszę list do mamy.

Gdy w Wedze robi się cicho, to znaczy ze świetlicy słychać tylko pomruki telewizora, kładę się na brzuchu, wciskam rąbek kołdry w krocze i poruszając się rytmicznie, wyobrażam sobie, że jak Rocco stoję naga na scenie. Wokół mnie wirują przeświecone reflektorami pyłki kurzu, które w spiralnym ruchu tańczą, przyciągając się i odpychając, by w końcu opaść na ciemną widownię.

Budzę się zziębnięta koło dziesiątej i ułożywszy stopy na wypełnionej gorącą wodą butelce, która według patentu Natki ma zastąpić ogrzewanie w moim pokoju, włączam Eltra Hanię. Po wieściach o zamachach pocztowych w Ameryce leci piosenka George'a Michaela *Last Christmas*. Odgarniam kołdrę i opatulona kocem wyglądam przez okno. Grudniowy poranek jest chłodny, pachnie sadzą i benzyną. Wychodzę z pokoju i szukam Waldka, żeby poprosić go o wrzątek na herbatę. W stróżówce jest pusto. Na krześle drzemie Adelka zwinięta w kłębek i popiskuje cicho, jakby we śnie z czymś się zmagala. Skręcam w stronę świetlicy, odchylam koralikową zasłonę i staję na progu, wdychając zapach świeżo parzonej kawy, który tłumi mdły fetor zeszłowieczornej bibki.

– *Dobroe utro* – wita się jeden z rosyjskich bliźniaków, którzy poprzedniej nocy biegali po Wedze. Odnajduję go wzrokiem w kącie świetlicy. Siedzi w fotelu w samych slipkach i założywszy nogę na nogę, kiwa stopą w klapku z tak zadowoloną miną, jakby nie mieszkał w nieogrzewanym hotelu robotniczym, tylko w pięciogwiazdkowej rezydencji na Kanarach. Nieprzyzwyczajona do widoku obcego gołego faceta odwracam wzrok i gdy zamierzam się wycofać ze świetlicy, on ku mojemu zdziwieniu zagaduje mnie po polsku:

– Ja zauważyłem, że wy, medaliki, macie wronę w herbie miasta. – Wskazuje przypięty do futryny proporczyk z godłem Częstochowy.

– No nie tylko w herbie. – Uśmiecham się. – Obecny prezydent Częstochowy też nazywa się Wrona.

– Ty żartujesz?

– Serio.

– A wiesz, dlaczego w niektórych miastach Rosji kopuły na cerkwiach są porysowane?

– Nie.

– Wrony tak się bawią, że biorą wieczko od majonezu i z dachu na nim jak snowboardziści zjeżdżają.

– Nie mów?

– Albo ślizgają się na kopułach i w ostatniej chwili hamują pazurami.

- Ja cię!
- Albo rzucają orzechy na pasy. Na czerwonym samochody im te orzechy zgniatają, a one na zielonym zlatują i je jedzą. Miałem kiedyś wronę w domu. Karkusza miała na imię. Kara na nią mówiłem.
- Znalazłeś ją poranioną?
- Pisklaki za duże były i wypadły z gniazda, no i nie dało rady wciągnąć ich tam z powrotem. Duże były, ale jeszcze nie potrafiły latać, no i zginęłyby tam w tym parku. No i każdy, a pamiętam, że było nas trzech, ja i moi znajomi, każdy po jednym pisklaku do domu wziął. Na początku wydawało mi się, że taka wrona głupia jest i nie różni się mózgiem od kury czy gołębia. No i wydawało mi się. Dopiero teraz wiem i nawet naukowo to potwierdzone jest, że intelekt wrony czy tam kruka zbliża się do małp. Są bardzo mądre. No i w domu właśnie było to widać, jak ona się zachowywała i co robiła.
- Chodziła za tobą?
- Tak. I jeść prosiła! Później ja jej zrobił gniazdo i ona do tego gniazda wszystko, co jest błyszczące, ściągała, ale najlepsza była taka sytuacja, że moja mama miała przy sowchozie ogórki i one takie żółte kwiateczki miały, religijki.
- Reli... co? – pytam, bo nie dosłyszałam.
- Czasami trzeba było niektóre kwiatki powyrywać, żeby ich było mniej, ale za to większe. No i mama tak robiła, wyrywała je i składała na kupkę, a ta wrona cały czas obok latała i wszystko obserwowowała. Następnego dnia przychodzi sąsiad: „Ja tę waszą wronę zabiję!”, krzyczy. „Ale o co chodzi? Dlaczego?”, pytamy. „Ja przez nią bez ogórków zostanę! Ona mi wszystkie kwiateczki pozrywała i poskładała je w kupki”.

W mikołajki spotykamy się w świetlicy, jemy rosół z makaronem, który Natka przywiozła w baniaku, i gramy w tysiąca. Siergiej na musku nuci: *Pust' wsiegda budiet sołnce*. Waldek mu wtóruje i mówi pas. Ja, nie wiadomo dlaczego, daję sto dwadzieścia, modląc się w duchu, żeby Aleks mnie przebił, bo z meldunkiem dzwonków nie mam szans tyle ugrać.

– Rosyjskie zupy były gęstsze – zagaja Aleks, kiedy kończymy jeść i odkładamy talerze w kącie przy choince. – Kurczaka dodawałem, ziemniaki, makaron, podsmażaną paprykę, marchewkę.

– A liście laurowe? – pytam.

– I liści, i pietruszki pokrojonej – ciągnie Aleks, zapatrzony w talię.

– Rosły na Syberii liście laurowe?

– U nas pod Omskiem? Nie, studentka, liście laurowe rosły na Kaukazie. Ale najbardziej lubiłem zupę z frykadelkami, to takie kulki z mięsa mielonego, i pielmieni, i manty, takie jak pielmieni, tylko większe i robione na parze, i czebureki, jak pierogi z ziemniakami, tylko trzy razy większe, smażone z obu stron na patelni, a wewnątrz mięso w cebuli. Zupa z ryby nazywała się ucha.

Waldek nie wytrzymuje tych kulinarnych wspominków Aleksa, wychodzi na chwilę ze świetlicy i wraca z puszką sardynek, którą otwiera kozikiem. Tłuste palce wyciera o rąbek wystającej spod swetra koszuli.

– Jak chcecie, opowiem wam o mojej narzeczonej – zagaduje.

– Jasne! – wykrzykujemy niemal jednocześnie i odłożywszy karty na stół, natychmiast zapominamy, kto co licytował i z wyczekiwaniem gapimy się na stróża. Zaniepokojona krzykami Natka, która została dziś dłużej w hotelu, żeby wypełnić faktury, zagląda do świetlicy.

Waldek milczy, potęgując nasze zaciekawienie, a potem siada przy farelce, wyciąga nogi i wyjmując z portfela pomięte zdjęcie.

– Adelka miała na imię. – Pokazuje nam fotografię drobnej blondynki.

– Adelka? – pytam zaskoczona.

– Tak, dobrze myślisz, studentka. Nasza jamniczka imię ma po

niej.

– A gdzie się poznaliście? – pyta Natka, która w końcu nie wytrzymuje, wchodzi do świetlicy i siada w fotelu naprzeciw Waldka.

– W kościele.

– W kościele?! – powtarzam zdziwiona, bo wizja rozmodlonego stróża Wegi wydaje mi się tak samo mało prawdopodobna jak opisywana w przedwojennej „Uranii” sieć kanałów na Marsie.

– W sierpniu, jakoś tak po pogrzebie wuja, idę w stronę Stradomki, żeby odpocząć, jak za bajtla nad wodą posiedzieć. Potem robię się głodny i zawracam do miasta. Upał jest. Jakieś ludzie pałętają mi się pod nogami, jakieś gołębie, dzieciary, psy i nie wiadomo co jeszcze, pielgrzymki machają chorągiewkami, fałszują *Czarną Madonnę*. Harmider nie do zniesienia. W końcu uciekam do kościoła Zygmunta, bo jest akurat otwarty. Włożę do środka. Cisza. Przyjemny chłodek. Maczam palce w wodzie święconej, siadam i rozglądam się nieswojo, a obok dziewczyna siedzi, drobniutka taka, i beczy, i beczy. Wierzcie mi, nie wierzcie, ale choć kochliwy nie jestem, w niej się od pierwszego wejrzenia zabujałem. Poszliśmy na lody, do kina, na wódkę i tak jakoś wyszło, że po kilku dniach zamieszkaliśmy razem na mojej dzielnicy cudów. Dni płynęły, jeden za drugim, a my świata za sobą nie widzieliśmy. Co ja się dla niej nie narobiłem, jakich fuch nie brałem, żeby miała na szmatki, szminki, skórzane kozaki, ale powiem wam, że nigdy o nic nie prosiła. Tak skromna była, że mi się to po prostu w głowie nie mieściło. Na nocki pracowała w fabryce makaronu. Codziennie prała w misce ten swój pomarańczowy fartuszek, prasowała i wracała rano z reklamówkami makaronu: muszelki, świderki różne przynosiła, ale my i tak ich nie jedliśmy, bo nam obrzydły, tylko sąsiadom oddawaliśmy.

Jak wiecie, Częstochowa jest mała i wszystkie medaliki się znajdują. Któregoś dnia zajrzałem po robocie do Sira, chciałem Adelce pierścionek zaręczynowy kupić, a wiedziałem, że tam Cyganie i Rumuni zdobyczne złoto upłynniają. Wchodzę. Przy kontuarze siedzi taki gościu, Gutek, może go znacie, szef częstochowskiej mafii.

Gutek wypił chyba sporo, bo zaczyna przebąkiwać o willi na Mirowskiej, którą wybudował zaraz koło stadniny koni facet, co miał fabrykę luster.

„Zbych swoich dziewczyn do niczego nie przymusza”, mówi i zerka na Wadima, tego Rumuna, co czasem do Natki po fatalaszki przyjeżdża, jakby chciał mu dogadać, że swoje kobiety na żebyry posyła. Wadim sztywnieje, jego palce na butelce piwa bieleją. Kelner ucieka na zaplecze, my się chowamy po łóżach, bo wiadomo, że szykuje się zadyma. Widać, że Wadim cały czas się waha, czyby Gutkowi nie przypierdolić, ale w końcu odpuszcza, i dobrze robi, bo jakby się postawił, gryzłby ściółkę od spodu w Lasku Aniołowskim. „Dacie wiarę, że jedna z jego dziewczyn”, mówi Gutek, „swojemu staremu przez cały czas wciska, że na nocki pracuje w fabryce makaronu. Codziennie przed wyjściem pakuje do torebki pomarańczowy fartuszek, jedzie do Tesco, kupuje na wagę świderki, rurki, sprężynki i pakuje je w zrywki”.

Od razu żem się połapał i bez pożegnania wybiegłem z Sira. Pół nocy się błąkałem jak szalony po mieście. „Adelko, na Boga, Adelko!”, krzyczałem. „Czemuś to zrobiła?”. Jak mi szok minął, wróciłem do domu i nawet nie pytajcie, co chciałem zrobić.

– Prosto no! – wykrzykuje przejęta pani Ludmiła. Bliźniacy zerkają na Natkę.

– I co? Zastałeś ją w domu? – pyta drążącym głosem Natka.

– A gdzie tam. Gutek się od razu połapał i posłał po nią.

– I co? Szukałeś jej? – pytam ja.

– Do dziś jej szukam, studentka – szepcze ze łzami w oczach. – Do dziś.

O osiemnastej dwadzieścia czasu moskiewskiego rosyjskie samoloty zaatakowały Grozny. Bomby uszkodziły cztery stacje energetyczne i wieżę telewizyjną.

Na korytarzu Wegi jest wyjątkowo cicho. Nie gra nawet telewizor w świetlicy. Palma w doniczce zwija z zimna liście. Powoli zasycha ścieżka błotnych śladów ciągnąca się między biurem Natki a rozchybotanymi w zawiasach jak wejście do saloonu drzwiami Wegi. Wszyscy, oprócz Siergieja, który w pokoju na piętrze czyta książki, przygrywa na harmonijce, sam ze sobą gra w szachy lub pakuje jutowe torby na rynek, siedzą wokół farelki, zapatrzeni w rozżarzone na pomarańczowo spirale.

– A jak my na Syberii mieszkali – przerywa ciszę Aleks – to na przykład była taka krowa Aprielka.

– Aprielka... – powtarzam, bo podoba mi się to imię.

– W kwietniu urodzona – wyjaśnia Aleks. – I ta krowa na mnie wielkie wrażenie wywarła, bo jak wyczuła, że chcemy ją sprzedać, całkiem zmieniła zachowanie i normalnie chodziła i ryczała, a łzy jej ciekły jak grochy. Później rodzice pojechali do takiego upadającego sowchozu i kupili Majkę. Ta Majka od małego była w takim głębokim komunizmie chowana, że przebite uszy, a w uszach numerek. No i zabrali my ją do domu i zaczęli my koło niej chodzić, czyścić, smakołyki różne dawać i ona jakby to odczuła, że tak się o nią troszczymy, że jakby z miłością do niej podchodzimy i jak pies stała się. O nią w ogóle nie trzeba się było martwić. Wiedzieliśmy, że jak pójdzie łązić, to zawsze wróci cała.

– No, a jakżeście trafili na tę Syberię? – pyta Waldek.

– Ojciec był wojskowy, tam go przierzucili. A dziadek skończył technikum elektryczne i choć wszyscy mu mówili, żeby nie szedł na wojnę, bo jakiś facet musi zostać w wiosce, to on nie chciał. Nie będę siedzieć z babami, mówił. Potem chyba żałował. W Smoleńsku, nie Smoleńsku, na Zachód bardziej, jak pociągiem dojeżdżali, to Niemiec nad nimi tak nisko latał samolotem, że mu mordę było widać i że się uśmiechał, ale nasi nic nie mogli zrobić, bo karabinów mieli parę tylko. Jednego dnia przychodzi Georgij i mówi: „Ty, patrz, słonina na krzaku wisi”. „Dawaj, zjemy ją!”, krzyczy dziadek,

bo już drugi dzień nic nie jadł czy coś takiego. Leci, patrzy, a ten uwędzony ochłap to kawałek tyłka pielęgniarce, która podczas ucieczki przez las nadepnęła na minę.

– Gdzie się tak nauczyłeś mówić po polsku? – pytam Aleksa.

– Tak jak Natka, wśród Polaków.

– Ale Natka wychowała się na wsi w Polsce.

– No dobra, studentka, przyznam się. Matka mnie nauczyła, jej ojciec był Polakiem; stracił na Syberii rodziców, mając pięć czy cztery lata. Tata mój potrafił po polsku powiedzieć tylko „dzień dobry”, a jak się wkurzył, to mówił zawsze „psiakrew”.

– A dlaczego Siergiej nie mówi po polsku?

– Mówi, ale nie lubi. On dziwny jest, bo jak był mały, wypadł z wózka. Najpierw my mieszkali w Gruzji, w Tbilisi, bo ojca tam przetrzucili. Później przez niecały rok w Azerbejdżanie, w Baku i Nagornym Karabachu, gdzie były zamieszki.

– I ty to widziałeś?

– Ja nie, bo mieszkali my w bloku przy jednostce wojskowej, ale widziałem, jak tam czołgi jeździły, i w nocy budziłem się, bo strzelali.

– Bałeś się?

– Ja? Nieee. Nawet na ogród chciałem wychodzić, tylko mama nie pozwoliła. U nas każdy chciał być wojskowym. Ojciec kupił nam makarowa, pistolet, jak prawdziwy, tylko dla odróżnienia były niebieskie, i do tego wkładało się takie pistony. Szyszygi też były.

– Szyszygi?

– Samochodziki wojskowe gaz sześćdziesiąt sześć. Z Siergiejem często łązili my na jednostkę. Jakaś tam dziura była w płocie. Nie można było tam włączyć, ale się robiło i kiedyś poznałem Azera, chłopczyka też w moim wieku, no i łązili my tam, łązili i jak był alarm na tej jednostce, to schowali my się w takiej wojskowej wieży...

Nagle koraliki w drzwiach się rozchylają i tuż przy futrynie pojawia się głowa Siergieja, który podsłuchawszy opowieści brata, puka się w czoło, a potem recytuje coś po rosyjsku.

– Co powiedział? – pytam Aleksa, bo choć przez całą

podstawówkę i liceum wkuwałam rosyjski, niewiele rozumiem.

– Wiersz Tiutczewa – odpowiada Aleks.

– O czym?

– Czekaj... „Umysłem Rosji nie zrozumiesz i zwykłą miarą jej nie zmierzysz. Postać szczególną ona ma. W Ruś możesz tylko wierzyć”.

W tej chwili, gdy zamierzam wspomnieć przy bliźniakach o bombardowaniach Groznego, Adelka zrywa się z moich kolan i wybiega na korytarz Wegi. Kiedy drzwi wejściowe się otwierają i słychać stukot szpilek Natki, bracia się podrywają, kręcą przez chwilę po świetlicy, po czym pryskają na piętro.

– A co oni tak przed nią uciekają? – pytam Waldka. – Nie zapłacili czynszu?

– No jak to, studentka, to ty nic nie wiesz?

– Nie.

– Oni obaj się w niej kochają.

– A co na to Natka?

– Natka jak to Natka, nic na to nie mówi, bo wciąż rozpamiętuje swego byłego, Cynge, który ponoć dwa lata temu zginął w wypadku samochodowym na trasie do Rajchu.

W święta Bożego Narodzenia ku rozczarowaniu mamy nie jadę do domu, bo oficjalnie muszę się przygotować do egzaminu z literatury staropolskiej, a nieoficjalnie chcę po prostu zostać w Wedze, gdzie co prawda jest tak samo zimno jak w moim kamiennym domu nad stawem, ogrzewanym jedną kozą na węgiel, ale jednak w hotelu jest większy spokój i nikt światła nie gasi po dziesiątej.

W drugi dzień świąt, kiedy śnieg przykrywa podjazd przed hotelem, a owoce platanów na ogołoconych gałęziach przypominają kokosanki, wygłodniała zaczynam żałować, że zostałam na święta w Wedze. Tęsknię za mamą, która z okazji sylwestra kupiłaby sangrię i upiekła w prodiżu murzynka. Jedlibyśmy smakołyki, które zostały z wigilii: makowiec, resztki opłatków, barszcz czerwony z uszkami, kapustę z fasolką.

Wychodzę na zewnątrz i zatrzymuję się przy schodkach, gdzie Siergiej gra na harmonijce. Wsłuchana w melodię, przypominam sobie ojca, który przed wigilią osiemdziesiątego siódmego przytachał do domu – obie z mamą wołałyśmy nie wiedzieć skąd – prawie dwumetrowy świerk i postanowił go przyciąć. Przyniósł ze stodoły piłę, potem usiadł na zasypanym igliwem gumolicie i dwadzieścia minut rozmyślał nad tym, jakby tu najlepiej przypiłować drzewko. Mama, spodziewając się kłopotów, od razu wołała ewakuować się do sąsiadki, ja zostałam i żeby nieco przyspieszyć proces ojcowej deliberacji, poszłam do kuchni zrobić mu herbatę, a gdy wróciłam, świerk leżał tam, gdzie został porzucony. Ojciec, przytulony do piły, rzępolił na niej jakimś badyłem balladę Kapeli Czerniakowskiej: „Nad domami szara mgła, zimny wicher ją rozpinał, co dzień do fabryki szła fabryczna dziewczyna”.

Siergiej, zauważywszy mnie skuloną na ławce przy podjeździe, przestaje grać, chowa harmonijkę do kieszeni, podchodzi, opatula mnie swoim szalikiem i prowadzi za barak hotelu do parterowego hangaru, gdzie jedno pomieszczenie Natka wynajmuje na magazyn. Siergiej przekręca klucz w kłódce. Wchodzimy do pachnącego smarem, karbidem i trocinami pomieszczenia, gdzie na ścianie, między dwoma plakatami cycatej Pameli Anderson ze *Słonecznego patrolu*, wisi kwadratowa tarcza wycięta ze sklejk. Siergiej otwiera

metalową skrzynkę, która stoi w kącie przy stosie zwilgotniałych kartonów i pokazuje mi kolejno różne puginały i noże. Jest zimno. Mój oddech ślizga się po wypolerowanych ostrzach. W stali odbijają się nasze twarze: moja drobna i blada, jego ogorzała od przesiadywania na rynkach, ze szczęką wysuniętą jak u Terminatora. Po obejrzeniu zawartości skrzynki stajemy na środku pomieszczenia. Siergiej demonstruje mi rzut nożem – trafia w sam środek tarczy. Klaszcząc, staram się pilnie naśladować jego ruchy, ustawiając ostrze tak jak on, wzdłuż wskazującego palca, ale za każdym razem ciśnięty przeze mnie nóż odbija się od sklejki i spada na zasypaną trocinami podłogę. Po kilkunastu nieudanych próbach zupełnie zapominam o panującym w magazynie chłdzie. Przykładam kawałek sopła do skaleczonego palca i omdlewającymi z wysiłku rękami wciąż próbuję trafić do tarczy. Siergiej siada okrakiem na skrzynce i obserwując mnie, podśmiewa się pod nosem. Wreszcie, znudzony, staje za mną, dotyka moich ramion, ud i pleców, abym przybrała odpowiednią pozę. W końcu wprowadzona przeze mnie w ruch klinga rozdziera białą sklejkę i wbija się w sam środek tarczy. Piszczę z radości i rzucam się Siergiejowi na szyję, a ten rumieni się, chwytając mnie w pasie i unosi do góry jak słomianą lalkę. Rozkładam ręce w poprzek, jakbym była wyprawionym przez mojego ojca jastrzębiem i połykam zimne powietrze nasączone pyłkami kurzu. Opadając na betonowe klepisko, ustawiona tyłem do Siergieja, ocieram się niechcący o jego brzuch i uda. Czuję na pośladku twardego penisa. Odwracam się, podniecona. Siergiej ujmuje moją dłoń, wkłada do ust zakrwawiony palec, ssie go przez chwilę; potem pochyla się, ustami pachnącymi żelazem całuje mnie z językiem i powoli, tak, abym nie potknęła się o porozrzucane noże, przesuwa mnie w kierunku ściany. Rozpalona opieram się o chłodny mur. Siergiej rozpina moją kurtkę, całuje sterczące sutki przez bluzkę, zostawiając plamki śliny na bawełnianym materiale; szepcząc coś po rosyjsku, podnosi bluzkę i wkłada mi język do pępka.

– Dobrze się bawicie, rybeńki?

Natka ubrana w kozuszek i zamszowe kozaki za kolana siedzi na

progu magazynku i pali papierosa. Dopiero teraz dociera do mnie zapach jej słodkich perfum i tytoniu. Obciążam bluzkę i odskakuję na bok.

Natka zdeptuje peta na betonie i podchodzi do Siergieja, który wciąż stoi z opuszczonymi rękami pod ścianą.

– O co cię prosiłam? – mówi Natka groźnym tonem, jakiego u niej nigdy nie słyszałam, i z całej siły uderza Siergieja pięścią w twarz.

Kwadrans przed ósmą budzi mnie sygnał radiowozu. Indygowe światło policyjnego koguta przecieka przez żaluzję. Zaspana siadam na tapczanie i zastanawiam się, czy przypadkiem w świetlicy znów nie zaciął się magnetowid i to nie stamtąd słyhać odgłosy *Policjantów z Miami*.

Siadam na tapczanie, przecieram oczy i próbuję wyjrzeć na zewnątrz, ale farfocle mokrego śniegu przyklejają się do szyb, zasłaniając widok na skwerek przed hotelem.

Ktoś cicho puka w drzwi.

Zwlekam się z łóżka, przekręcam klucz.

Do pokoju wślizguje się pani Ludmiła. Jej spuchnięta, okolona żółtymi papilotami twarz przypomina bukiet wrotyczu. Kobieta rozgląda się po pokoju, uchyla szafę i trzęsącymi się rękami poddaje mi dzinsy, bluzę i kozaki Natki, a potem jak w amoku zgarnia do walizki wszystkie moje rzeczy.

– Ale co się stało, pani Ludmiło?

– Lepiej, żeby ty *nie znała*.

– Gdzie jest Natka? Znów się bracia o nią pokłócili? – dopytuje zaniepokojona, zapinając suwak w dzinsach.

– Lepiej, żeby ty *nie znała*.

Ubieram się szybko jak podczas pobudki na obozie harcerskim i po dwóch minutach jestem gotowa do wyjścia.

– *Kłás* – kwituje Ludmiła z lekkim uśmiechem, choć widać po niej, że jest przerażona. – *Idi, nie bojsia*. – Wskazuje na szafę.

– Mam się w schować w szafie? Tak?

– Ni.

– No to gdzie mam iść, pani Ludmiło? – dopytuję, próbując

zrozumieć jej słowa.

Na korytarzu dudnią coraz głośniejsze kroki, Ludmiła podchodzi do szafy, otwiera ją na oścież i jednym szarpnięciem odrywa tylną ściankę, po czym wskazuje ciemną, oblepioną frędzlami pajęczyn jamę i wciska mi do ręki kartkę, którą szybko przebiegam oczyma: „Ludmiła poda ci paczkę. Włóż ją pod deskę przy wyjściu do schronu. Walizkę podamy. Kocham cię. Natka”.

– Bywaj – szepcze Ludmiła, umieszcza na miejscu tylną ściankę szafy i zatrzaskuje drzwi.

Odwracam się i wtedy słyszę dobiegające zza drzwi skomlenie Adelki, ale nie mogę już zawrócić, jest za późno, by się z nią żegnać. Schodzę po schodkach, przytrzymując się wilgotnej betonowej ściany. Ciemność łasi się do mnie, pączkuje pluszem i pajęczynami.

– Dasz radę, dasz radę – powtarzam kilka razy.

W końcu docieram do zdewastowanego pomieszczenia przypominającego sporą komórkę. Po ścianach biegną rzędy kabli. Co jakiś czas wyczuwam pod palcami metalowe opaski, wypustki i zawory. Odór mysich odchodów, kurzu i padliny kręci w nosie. Przełykam ślinę, aby pozbyć się z ust smaku kurzu i próbuję ominąć potraskane butelki po wódce oraz coś, co wygląda na zeschniętą ludzką kupę. Boże, w co ja się właściwie pakuję?, myślę, gdy dociera do mnie, że chyba zwariowałam, dając się wplatać w jakąś aferę rodem z serialu kryminalnego. W oddali pulsują plamy rozproszonego światła.

Pół godziny później, zmęczona i niewyspana, błąkam się po okolicy. Zaczyna się odwilż. Zdejmuję budrysówkę i kładę się na drewnianym pomoście przy porośniętym pałkami wodnymi i sitowiem stawie z twarzą zwróconą ku jaskrawemu niebu. Nade mną, na kostropatej gałęzi dzikiej jabłoni, dynda jedno jabłko, które przypomina mi mojego protoplasta. W czasie wojny dziadek Władek razem z innymi strzelcami z pułku piechoty trafił do stalagu Lamsdorf w Łambinowicach pod Opolem, nazywanego przez hitlerowców Britenlagen, bo od czterdziestego roku przetrzymywali tam głównie jeńców brytyjskich. Dziadek dostał cynk o wywózce do obozu koncentracyjnego i zaplanował ucieczkę. Jako stolarz dostawał czasem przepustkę i wychodził po materiały za bramę stalagu. Prawdopodobnie dorobił klucze i uciekł z dwoma angielskimi komandosami. W całej historii Lamsdorfu na sto tysięcy osadzonych ucieczka udała się tylko trzynastu czy czternastu jeńcom. Angielskich wojskowych, szczególnie lotników, strażnicy zakuwali w kajdany. Dziadek był jednym z nielicznych, którzy przeżyli ucieczkę i do końca wojny ukrywał się w jaskiniach i ziemiankach w Jurze.

Mieszkałam z nim osiemnaście lat i w tym czasie wiele razy próbowałam wypytywać o wojnę. W odpowiedzi śpiewał zakazane piosenki, ale stalag to był zakazany temat; nie chciał wspominać, dawał mi do zrozumienia, że za opowiadanie o przygodach z aliantami grozi kara. Pewnego dnia siedziałam sobie na jabłonce i podjadając dojrzałe papierówki, majtałam nogami. Dziadek akurat wracał z kamionki i zauważył mnie siedzącą na konarze.

- Złaż stamtąd, bo spadniesz i się narobi! – krzyknął.
- Nie zejde.
- Złaż!
- Nie zejde.
- Złaż, bo jak nie, to pójdziesz do Lamsdorfu!
- Lasdorf? Ladorf, la, do, fa – przedrzeźniałam go, nieświadoma znaczenia słów, które wypowiadam.

Jesteś, dziółcha? Jesteś? – słyszę głos dziadka. Rozglądam się, ale nikogo nie ma w pobliżu. Na gałązce nad wartką strugą wody, która wpływa do stawu z jakiegoś tajemnego źródła, podryguje ciemnobrązowy pluszcz. – Może byś wreszcie do dom przyjechała? Pamiętasz, jakżem pszynice sioł? Teroz, jakżeś na te studia pojechała, wszystko odłogiem leży. Babka pochowana, a matka twoja sama siły nie ma. Nikt na gospodarce się nie ostoł. Wszyscy do miasta pouciekali. Z nas, Lubasów, Władzia do Będzina, Ania do Siemianowic, chłopcy do zakładów woleli. Ino się najmłodszo Zośka ostała, ale ona na dwie zmiany w SUW-ie robiła. Za panny to i kamienia nakopać pomogła, i drzewa narąbać, silna była jak nie dziółcha, nie to co ty, ino z nosem w książce siedzisz. Napisz lepi, że korony z choiny młodym do futryn się już nie przybija, na wesele zastawek przy mostku nie robi, żuru nie czyni, wiśni na kwasek nie zrywo. Już trzeci rok, jak kalendarza strażacy nie przynieśli. Kiedyś nosili. Dawało się co łaska, ino nie mniej jak pindziesiąt złoty. Mleczorz już nie jeździ, a rycki nikaj kupić nie idzie, i że gospodę w Koziegłowach na rynku zawarli. I jak jom zawarli, to my wszyscy płakali. Potym ulice porobili. Mówili, że my na Długiej mieszkali. Jak na Długiej, się pytom listonoszki, jak ona tako krótko? Chłopy się telewizorów naoglądali i im się we łbach poprzewracało, jak się pobogacili na sztucznych choinkach, łykach, na kwiotkach, wińcach, to wszyscy w izbach drzwi z zawiasów powyjmowali i łuki se jak w kaplicach porobili. Ale tak ci powiem, że to nie przez te telewizory pogłupieli. Czy u księdza, czy u pana, my zawsze bez poważania byli.

A raz w czterdziestym trzecim mnie jeden foks w Siewierzu wydoł, że kiełbasą szmugluję. Chyba ze cztery kila żem wtedy za pazuchą wiózł, a tu nagle szwab do mnie z lugerem przyskakuje i się pyto, co ja na tej furmance robię, a ja na to mało myśląc: *Trinken, essen und schlafen*. Panie Boże, com się w tyn czos strachu najodł. A ten szwab się ino zaśmiał. Potem już zawszem głupiego zgrywoł i przed kościelnym, i przed partyjnymi, krzyżykiem się podpisywoł, choć ty wiesz, jak pisać umiem.

A ty nie pamiętasz, jak twojego ojca Rysia z papierni wyrzucili?

Bo on kierownikiem portierni był, bramę w tom i nazad otwierał i zda się za dużo się naotwierał. Jak go wygnali, to się zaraz od kolegi płytek kłaść nauczył i od tego czasu od roboty opędzić się nie mógł. Wszyscy go na łazienki brali, a na fajrancie wódką częstowali. To się chłopina rozpił i serce mu nie wytrzymało.

A ty żeś jeszcze tu była, jak sołtys na dożynki kapelę zaprosił? Dziołcha, on jakiś szatanistów na wieś nyską przywiózł pod tyn no, amfiteotr. Słowiki się nazywały, ale to nie była kapela, ino jakieś chachary. I jak zagrali, jak się zadarli, dziołcha, jakby werble piekielne się na Hektarach odezwały. Dzieci się pobeczały, kobity pouciekały do dom i tyle z tych naszych dożynek się ostało. A, jakżeś na te studia wyjechała, firmy kurze na Hektarach zaczęli budować, rurociągi, pole wyprzedawać. Raz takich na górcie ja widzioł, co ślimoki do worka zbierali. Nawet ślimoki, rozumiesz, chcą nam zabrać, psia mać, na co im to? Już ja im dam, po moich kamionkach łązić. I nie wiadomo komu te zagony chcą oddawać. Zda się tak, po znajomości. Jak zaczęli się budować na księżym polu i na tych no, pegieerach, gdzie im co rusz piwnice zalewało, to ja się nie na żarty wystraszył, że ino patrzeć, jak znowu Niemce przyjdą ziemię wykupić. Dziołcha, to by był koniec końców, czy nazwij se to, jak chcesz, jakby nam to pole zabrali. Widły i siekierę jakby co mam.

Z pobliskiej łąki podrywa się stado wron, które unoszą na rąbkach skrzydeł szafirowe chmury. Wydłużają się cienie drzew i szuwarów nad stawem. Siadam na pomoście i przypomniawszy sobie o poleceniu Natki, wydaję z kieszeni kurtki niewielką paczkę, oklejoną taśmą izolacyjną. Przez dłuższą chwilę gapię się na nią, wacham i walczę ze sobą, żeby nie sprawdzić, co jest w środku. W końcu jednak rezygnuję i zawracam po własnych śladach do schronu. Kiedy docieram na miejsce, pada śnieg z deszczem. Dymy z kominów skręcają na zachód. Klękam przy rozmontowanym przez zbieraczy złomu wejściu, macam luźną deskę i próbuję wcisnąć pod nią paczkę, gdy nagle ktoś dotyka mojego ramienia. Podskakuję przerażona i w odruchu obronnym zasłaniam twarz. Przedemną stoi Cynga, dawny kochanek Natki Roszenko, który w latach osiemdziesiątych był w mojej wsi właścicielem Pawiana, klubu nocnego przy autostradzie. Nic się nie zmienił poza tym, że lekko posiwiał i zgolił krzaczaste wąsy.

– To pan żyje?

Cynga mruży przekrwione oczy i przygląda mi się uważnie.

– Czołem, córko Rysia. – Uśmiecha się, kładzie palec na ustach i chowa pakunek do teczki.

Człapię za nim w stronę kremowego volkswagena, który wiele razy widziałam zaparkowany na podjeździe Wegi. Jestem zmęczona, więc wolę o nic nie pytać i nie wspominać Natki. Drewniany różaniec zawieszony na przednim lusterku kiwa się rytmicznie. Dźwięk silnika mnie usypia. Wyglądam za okno, gdzie jak nigdy zachwycają mnie drzewa: topole, osiki, graby, buki poruszają gałęziami dyskretnie jak zegar wskazówkami. Posągowo milczące, obracają blaszki liści w stronę zachodzącego słońca, które przez chwilę lepi się do owoców głogu, dzikiej róży i czeremchy, aż w końcu jak kołtun rzucony na rozgrzaną blachę pieca całkiem gaśnie.

Widujesz ty czasem na stacji takiego bezdomnego dziadka, co gapi się na tory, kołędy śpiewa i święte obrazki rozdaje? – Cynga zatrzymuje samochód przy dworcu i podaje mi papierosa. Boję się odmówić, więc zaciągam się z niechęcią.

– Tak, bywa tu taki. Kilka razy go widziałam – odpowiadam nieśmiało, pokaszując.

– To Pacyna jest.

– Zna go pan?

– Sam mu dałem takie przezwisko na zamku¹ w Herbach, bo miał, co tu dużo mówić, zrytą pacynę i śpiewał zawsze te kołędy na stacji, wiadomo.

– A za co go wsadzili?

– Za masło.

– Jak to?

– Po prostu. Był zamknięty za nic, bo coś tam z głodu ukradł, bułkę chyba, no a że nie miał miejsca zamieszkania, a prawo w naszym kraju jest takie pierdolnięte, przepraszam bardzo, że jak nie masz adresu, to sankcję musisz przebyć do sprawy. Na początku siedział na drugim oddziale, na górze, ale że był lekko chyły, taka prawda, nie umiał się dostosować do zasad, to go chcieli stamtąd wyrzucić. A na Herbach był, nie żartuję, komendant Herbik.

– Herbik na Herbach?

– No przecież sam bym tego nie wymyślił?

– No tak.

– Komendant miał układy z jakimś masarzem: szwagrem, zięciem, wujkiem, nie wiem dokładnie, bo w szpitalu, jak byłem na badaniach, to jedzenie moje było siedem razy gorsze niż w puszcze: na śniadanie kilo kiełbasy, na kolację kilo kiełbasy. Dzień w jebany dzień była kiełbasa. Nie mogliśmy już patrzeć na nią po prostu. A że dziadek Pacyna bezdomny większość życia był, to nauczył się odkładać jedzenie na potem i chował sobie kiełbasę w poszewkę od poduszki. W końcu zaczęło tak śmierdzieć pod celą, że ci mówię. Różne rzeczy mu dawaliśmy do jedzenia z paczek, żeby przestał, ale on i tak chował kiełbasę w poszewki. Nie dało się tego wyplenić, taka prawda.

Pacyna codziennie listy do sądu pisał, jak dziecko literami po dwa centymetry wysokości, do sędziny, Pani Ani Jakiejś Tam: „Ja nic nie zrobiłem, ja nic nie zrobiłem” i wsadzał do środka święty obrazek, z Matką Boską, wiadomo, jak to w Częstochowie. Ja myślałem, że jestem twardziel jak twój ojciec, Rysiu, który uciekł z wojska i pół jednostki wyprowadził w pole, ale jak patrzyłem na Pacynę, to mi się naprawdę serce krajało, bo tylko on z nas wszystkich tak tęsknił za wolnością, że potrafił cztery, pięć godzin bez przerwy stać przy oknie, gapić się przez blindy w las, na tory i krzyczeć, że chce do domu. Do domu, którego nigdy nie miał.

Ulica przed dworcem zaczyna pachnieć dymem z kominów i spalonym olejem. Krążą po niej niespokojni podróżni. Z parteru hotelu Polonia docierają do mnie stłumione dźwięki orkiestry. Studzienki kanalizacyjne parują. Wiatr odrywa strzęp folii i nabija go na drut wystający z ogrodzenia. Cynga wyjmując z czarnego etui komórkę centertel i podjadając kebaba, rozmawia z kimś niespokojnie. Zerkam na jego ogorzałą, nieogoloną twarz, a potem na peron: właśnie odjeżdża pociąg, którym mogłabym wrócić do domu.

– To ja się już pożegnaj, panie Cynga. Dziękuję za podwiezienie.

– No ale gdzie się tak śpieszysz? Nie zjem cię przecież – mówi ze śmiechem Cynga. – Chciałem ci podać walizkę i opowiedzieć o naszym wspólnym przyjacielu, Waldku. Wiesz, dlaczego on kuleje?

– Nie.

– Atanda go tak załatwiła.

– A co to jest atanda? – Przysiadam obok Cyngi na ławce.

– Zaraz, zaraz, wszystko opowiem ci po kolei. Waldek ze mną pod całą siedział za jakąś rozróbę po pijaku i przez cały czas do nikogo się nie odzywał, no chyba że musiał. Zaniemówił po prostu. Czytał jakieś pisemka o gwiazdach, księżycach, planetach i czasem w nocy budził się z krzykiem: „Adelka! Adelka!”. Adelka mieszkała z Waldkiem i w tym samym czasie zadała się z kolesiem, co ma fabrykę luster; dwa lata w jego burdelu na Mirowskiej pracowała.

– Nam też o niej wspominał.

– Suka. Ja bym się z taką nie patyczkował... – Cynga chrząka i pociąga z piersiówki. – Przed Bożym Narodzeniem kombinowaliśmy z chłopakami, skąd by tu zacier wziąć. Niby pastówkę, z pasty do zębów i relanium dało się upędzić, taką trzydzieści, czterdzieści procent, ale śmierdziała i była niedobra, a my chcieliśmy coś lepszego. Na widzeniach kupiliśmy w kantynie pięciolitrową wodę mineralną, więc butelki już były, jakiś zaczątek był. Potem dostaliśmy na święta drożdżówkę wszyscy, no i nikt jej nie zjadł, tylko je pozbieraliśmy, zadowoleni, że będzie fermentować. Nasypaliśmy tam cukru i dbaliśmy o to, jak o dziecko. Naprawdę. Owinięte kocami, gazetami, trzymaliśmy to za łóżkiem,

ale że nie było tej rurki z odpowietrznikiem, to trza było co godzinę na zmianę wstawać, korek odkręcać i gazu upuścić, żeby nie wybuchło. No i tak to psykało, psykało trzy tygodnie, ale jak zaczynało już ładnie pachnieć winem, wpadają nam na celę klawisze i jest kipisz tak zwany. Gnają nas razem z całą małolatów...

– Małolatów?

– Do dwudziestego piątego roku życia. No więc gnają nas na peronkę, rozbierają do naga całkiem, buty sprawdzają, spodnie, każą kucnąć i tak dalej. Nic nie ma, więc wracamy. Pod celą rozjebane wszystko, burdel taki, że masakra: chleb w ubikacji, skarpetki w cukrze. No i ogólnie już wiemy, że mamy przejebane, bo znaleźli zacier. Raz, że zatrzymają nam paczki, widzenia, telewizor zabiorą i tak dalej, dwa, że nam dojebią z atandy.

– Co to jest atanda, panie Cynga?

– Atanda to jest taka specjalna jednostka klawiszy jak antyterrorarka na mieście. Byłe ZOMO głównie. Ich się nie widzi ogólnie, bo non stop nachlani gdzieś tam siedzą. Taka prawda, że od komuny to im zostało. Jak ktoś jest niebezpieczny, zakładają kaski, biorą tarcze, biorą pały, otwierają celę, wbiegają w sześciu chłopca i biją wszystkich po prostu. Biją i nie patrzą. Spróbuj się uśmiechnąć, a zębów nie masz.

– Bał się ich pan?

– No a jak? Największe kozaki się ich boją. Nieraz chłopaka zabili, z czego później było napisane, że się powiesił albo cokolwiek, umarł na zawał albo nie wiadomo na co. Ale wracając do sprawy tego zacieru. Stoimy goli na peronce. Z kondomu, czyli takiej okratowanej budki dla klawiszy, wychodzi ten chuj, pan Frania i mówi:

– Panowie, teraz krótko, jak nie powiecie, czyj to zacier, to macie przejebane.

My twardo do niczego się nie przyznajemy. Cella małolatów też siedzi cicho.

– Panowie, ostatni raz się pytam, jak nie, to wołam atandę i spuszcza wam wpierdol. Kto pędził ten zacier?

Na to wstaje Waldek, drapie się po klacie, bo od dłuższego czasu ma świerzba, i mówi:

– Ja!

2. Masz na imię Anula

Poczekalnię dworcową od pasażu oddziela przeszklona ściana. Figlują w niej światełka automatów do gier. Chłopcy ubrani w dresy odpalają żetonami Punishera. Na ekranach brykają postacie Terminatora, zwisającego na lianie Jungle Kinga i rozpalonego do czerwoności Tekkena.

Włóczę się po dworcu i zastanawiam się, gdzie przeczekać noc. Jest odwilż. Wirusy grypy szaleją w powietrzu. Porywisty południowo-zachodni wiatr tłucze w szklany dach dworca, wsparty na dwudziestu dwóch pylonach.

Kiedy robi się chłodniej, przenoszę się z walizką do bufetu, gdzie kupuję herbatę w plastikowym kubku i siadam przy metalowym stoliku, zagapiona w zniekształcone odbicie moich dłoni. W gazecie, pod nowym wzorem banknotu z portretem Władysława Jagiełły, czytam ogłoszenia o niemieckim holdingu, adresowaniu kopert, bieżnikowaniu opon i dyskretnych dziewczynach z firmy Monika.

Do bufetu wchodzi wysoki mężczyzna w okularach, zamawia herbatę i rozsiada się przy stoliku obok mnie.

– Widziały panie, co porobili z dworcem?

Bufetowa mierzy go wzrokiem i poprawia nielakierowaną trwałą, z której łupież sypie się na kontuar. W lustrzanych trójkątach przyklejonych do ściany multiplikuje się jej nafluidowana twarz.

– Miałem, że tak powiem, przyjemność poznać budynek naszego dworca z czasów Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej – mówi mężczyzna i gładzi brodę, po której spływa bursztynowa kropelka herbaty. – Dawny budynek miał taką wieżyczkę, kształtem przypominającą lokomotywę. Kiedyś to było miejsce pełne pięknych detali: okienek, lamp, latarni. W przestronnej restauracji przy stołach okrytych białymi obrusami uwijali się kelnerzy w garniturach. – Mruży oczy i gestykułuje tak, jakby w lusterkowych trójkątach przyklejonych do bocznej ściany bufetu wyświetlał nam slajdy. – Nie wiem czemu, ale pachniało w niej bardziej parzoną kawą niż jedzeniem. Za ścianą znajdowała się fryzjernia i chyba była otwarta nawet nocą. Ech, to były czasy, drogie panie: pociągi, gwizd lokomotyw, dym, syk pary, woń smarów, gwar, ruch pasażerów, pielgrzymi, wiejskie baby i miastowe panusie, bagażowi, konduktorzy i milicjanci chodzący

dwójkami, z paskami od czapek opuszczonymi pod brody. Pamiętam, że na stronę alei Wolności pasażerowie przechodzili bezpośrednio po torach, gdzie w wyznaczonym miejscu stał konduktor i sprawdzał bilety. To były wtedy takie tekturowe kartoniki.

– Pamięć to masz pan jak Papa Smerf – kwituje jego opowieść bufetowa, ustawiając puszkę coca-coli w lodówce.

Mężczyzna zerka na nią rozbawionym wzrokiem i dla żartu łapie się za poły płaszcza.

– Wszystko to pamiętam, droga pani, albowiem na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych często podróżowałem pociągiem z matką do Krakowa. Przez kilka lat co dwa tygodnie woziła mnie tam biedaczka do kliniki okulistycznej, w której miałem operację na wzrok. Operacja się nie udała, w wyniku czego patrzę na świat jednym okiem.

W bufetowym radiu odzywają się dzingle sylwestrowe. Nowy Rok, 1995, czas przekształceń własnościowych, akwizycji, kablówek, walorów, emisji obligacji, spółek, funduszy inwestycyjnych, piramid finansowych i przepowiedni o końcu świata wybucha nad placem Biegańskiego. Zrezygnowana uciekam na korytarz i zaglądam do poczekalni, gdzie siadam w rzędzie drewnianych ławek i popadam w senny letarg. Przez ażurowe oparcia przeciekają plamki światła i śmigają na posadzce jak kijanki. Oddechy pasażerów gęstnieją w powietrzu. Drugi raz od dnia przyjazdu do Częstochowy myślę o tym, żeby zrezygnować ze studiów, które, nie licząc kilku wykładów z literatury staropolskiej, zupełnie mnie nie interesują, nie szukać już pana Kamila i wrócić na Hektary.

– Co tu robi sama na dworcu o tej porze? – zagaduje mnie starsza tęgawa kobieta, obcięta na pazia. Przyglądam się jej przez chwilę z zadziwieniem, bo każda część jej stroju zdaje się pochodzić z innej epoki: bordowe, wypłowiałe palto z ortalionu, czarne oficerki, szalik w kratkę i ozdobny, założony na bakier filcowy kapelusik z piórkiem; pachnie mydłem lawendowym, jak moja babcia. – Nie boi się tak sama wałęsać po nocy? – dopytuje sztucznym, przymilnym tonem.

Coś mnie w niej niepokoi, a jednak wdaję się w pogawędkę.

– Jakoś tak wyszło, proszę pani. – Chowam podrapane ostrężynami dłonie do kieszeni.

– Pewnie głodna jest? – Wtyka mi kanapkę zawiniętą w szary papier. – Przyjechała dziś do Częstochowy?

– W Częstochowie mieszkam od końca września. Wyprowadziłam się dziś z hotelu, który był na Sabinowie, po-o-sze pani – przełykam ze smakiem plaster mortadeli, bo niewiele jadłam przez cały dzień, włączając się po rozstaniu z Cyngą w okolicach dworca.

– Na Sabinowie? Tam, gdzie Ruscy stacjonują?

– Oni tam już nie stacjonują, tylko cywile, co do Polski na handel przyjeżdżają.

– A jak tam trafiła?

– Nie dostałam akademika, bo moja wieś jest za blisko Częstochowy, a że codziennie okazją dojeżdżać nie mogłam, to

wynajęłam stancję w hotelu robotniczym.

Chciałabym jej wspomnieć o Wedze, Natce, Waldku, Adelce, Rosjanach, ale zamiast tego bąkam tylko coś o hotelu robotniczym, w którym było zimno strasznie, bo nie grzali.

– Dobrze, że się wyprowadziła! – Żegna się zamasyście, bo wiatr jęczy na zewnątrz.

Do pasażu wchodzi rozbrykana grupa nastolatków, którzy pod kurtkami niosą niedopite jabole i opowiadają sobie, jak obrobili skarbonki na Jasnej Górze. Jeden z nich, przebrany za krasnalą, przechyla się przez barierkę u szczytu schodów. Biały pompon zwisa nad przepaścią jak śniegowa kula.

– Skoczę, kurwa, skoczę i nikt mnie nie zatrzyma! Daria, Daria! – drze się na cały dworzec, ale gdy zza przepierzenia wygląda strażnik miejski, milknie i zasłania twarz rąbkiem czapki.

– Lepiej stąd chodźmy – szepcze kobieta.

– Tylko... ja nie mam gdzie iść, proszę pani. Muszę tu czekać do świtu na pociąg.

– Mogę ci wynająć stancję na poddaszu w naszym domu.

Spoglądam na nią zciekawiona, ale nic nie odpowiadam, wiedząc, że mam tylko jakieś drobniaki w portfelu.

– Słuchaj, dziecko, nie możesz tu sama siedzieć po nocy. To niebezpieczne. Ja jestem matka Stanisława, oblatka ze Zgromadzenia Sióstr Serca Jezusowego.

– Oblatka?

– Siostra, bezhabitowa – dodaje poufnym tonem. – I wyobraź sobie, że od jakiegoś czasu szukam studentki, która w zamian za pokój pomogłaby mi w drobnych pracach porządkowych. – Sięga do kieszeni płaszcza, podaje mi oblepione kawałkami opłatka jabłko i nie czekając na odpowiedź, bierze moją walizkę i ciągnie ją po chodniku w kierunku postoj, na którym z racji sylwestra nie ma żadnej taksówki.

Noworoczna noc jest zadziwiająco ciepła i wietrzno-deszczowa. Lampy rozpływają się w mroku jak gruszki w gęstwinie liści. W oknach przysłoniętych firankami mrugają ekrany telewizorów. Kostka brukowa lśni w mżawce jak skóra zaskrońca. Pijane, upstrzone brokatem dziewczyny stukają szpilkami o chodnik, nieświadomie przywołując odgłosy dawnego miasta, gdy ulicom nadawały rytm trolejbusy i końskie kopyta. Wiatr tarłosi przybite do płotu reklamy Fiata Punto, porywa ulotki sexlinii z rozmokłymi kserówkami zdjęć dzikich, namiętych pańienek, grzesznych policjantek, wiarołomnych i pomysłowych żon.

Stajemy przy budkach z frytkami na ulicy Piłsudskiego, gdzie nawet pnie drzew przesiąkły zapachem spalonego oleju. Taryfa wreszcie nadjeżdża i hamuje z piskiem. Wytacza się z niej chyba pijany kierowca o posturze Kokosza; włożywszy moją walizkę do bagażnika, zwała się na przednie siedzenie z takim impetem, że auto dosłownie przysiadło na bruku. Rzuciwszy przekrwionym okiem w lusterko, w którym odbijają się nasze zmęczone twarze, włącza radio i zaczyna śpiewać, a raczej wyć nowy przebój Varius Manx: „Nie bój się bać. Gdy chcesz to płacz. Idź szukać wiatru w polu”. Przyklejone do zalanej piwem tapicerki, wiezione na pierwszym biegu od krawężnika do krawężnika, po dwudziestu minutach wysiadamy nieopodal kościoła z ceglana basztą u zbiegu ulic św. Barbary i św. Augustyna.

Wchodząc do otynkowanego budynku, ogrodzonego od ulicy żelazną bramą, ostatecznie opadam z sił. Jest mi duszno. Gardło piecze. Skronie pulsują. Charakterystyczny dla grypy ból musuje w mięśniach. Powłócząc nogami, idę za moją oblatką przez murowany dziedziniec prosto do drzwi wejściowych. Mając w pamięci opowiadanie Marqueza *Chciałam tylko skorzystać z telefonu*, które przed wyjazdem na studia przeczytałam w jakimś piśmie literackim, waham się przy wejściu do zakonu, ale w końcu przekraczam próg. Mijamy przedsionek i recepcję. Kobieta nazywana przez mieszkanki domu matką przełożoną podaje mi drewniane chodaki, w których, mówi, muszę chodzić po zgromadzeniu, i wydaje kilka pleceń. Siostry krzątają się przy mnie

jak pszczoły, zabierają przemoczone ubranie, za duże kozaki, które rano dostałam od pani Ludmiły, przebierają mnie w płócienną koszulę nocną i zapraszają do refektarza, gdzie czeka parujący krupnik posypany świeżym koperkiem.

Kiedy kończę jeść, matka przełożona zmusza mnie do wypicia gorzkiego naparu z ziół, który cuchnie czarnym bzem, grzybami i kocimi sikami, a potem prowadzi po schodach na poddasze, odsuwa nogą podeschnięte wieńce adwentowe ułożone na wycieracze i uchylwszy drzwi z numerem jedenaście, zaprasza do środka. Rozglądam się. W czystym, ciepłym pokoju dach skrzypi jak statek w porcie, pościel pachnie krochmalem i wiatrem, a jasnozielone narzuty z atlasu falują jak ozime żyto.

Po wielu zarwanych nocach w Wedze, gdzie w nieogrzewanym pokoju mieszkałam do trzydziestego pierwszego grudnia, Dom Zgromadzenia Sióstr Serca Jezusowego wydaje się oazą spokoju. Szybko przywykam do ciężkich chodaków, które muszę nosić na terenie zakonu, porannego wstawania, liturgii godzin od jutrzni do nieszporów, jarskich potraw składających się głównie z kaszy, kwaśnego mleka, grochu, fasolki, żuru i kapusty.

Przebrana w obowiązkowy strój oblatek: luźną bluzkę i spódnicę, koniecznie za kolana, posłusznie wykonuję polecenia matki przełożonej, spisywane piórem na specjalnej karcie, którą co rano znajduję pod drzwiami pokoju na poddaszu. Do moich obowiązków należą: mycie i pastowanie podłóg w turystycznym skrzydle, czyszczenie ciepłą wodą z płynem do naczyń świętych figur, mycie konfesjonatów w kaplicy, gdzie dochodzący kapłan spowiada siostry, przygotowywanie dwóch tuzinów butelek na cudowną wodę ze świętego źródła kościoła Św. Barbary i pomaganie we wszelkich pracach mniejszych.

Na początku siostry, choć przyzwyczajone do ciągłych wizyt pielgrzymów, którym wynajmują pokoje o każdej porze dnia i nocy, spoglądają na mnie nieufnie: ktoś obcy pojawił się w ich domu, je w ich refektarzu, pije z ich kubków i co najgorsze, śpi w gościnnym pokoju na poddaszu, który jest zarezerwowany dla ekscelencji z kurii.

Kiedy posłusznie myję gipsowe posągi, pastuję korytarze i obieram kartofle, siostry zaczynają mnie akceptować; zagadują na korytarzach, dzielą się konfiturami, wtykają święte obrazki, ziołowe mieszanki oraz wszelkie frykasy, które zostawiają w wynajętych pokojach pielgrzymi z Zachodu. W ten sposób poznaję siostrę Zytę, która jest prawą ręką matki przełożonej, a może i zarządza całym zgromadzeniem, kucharkę Sabinę pochodzącą z Bytomia, która tak jak moja ciocia pracowała za młodu w stołówce przy kopalni, gdzie gotowała najsmaczniejsze zupy w całym województwie śląskim, siostrę Basię, która gra w kaplicy na skrzypcach i jak jej imienniczka, św. Barbara z Nikomedii, jest jedynaczką i w młodości uciekła z domu, a swego ojca żartobliwie nazywa Dioskurem, bo tak

jak protoplasta św. Barbary chciał zamknąć ją w wieży swojej willi, zbudowanej na popegeerowskim polu. Najwięcej jednak wspólnych tematów mam z najmłodszą oblatką, siostrą Anną, która mieszka obok biblioteki, jest mniej więcej po czterdziestce i tak jak ja, tylko wiele lat wcześniej, studiowała filologię. Kiedy jej chodaki wybijają jamby na stopniach schodów, ogarniam naprędce pokój, przykrywam łóżko zieloną narzutą i czekam na nią niczym dziecko na Świętego Mikołaja. Siostra Anna wchodzi do pokoju. Popijając herbatę, wyciągamy się wygodnie na narzucie jak nastolatki na kolonijnym łóżku. Siostra opowiada mi, że jej prababka, która miała piątkę dzieci i aptekę przy dworcu, zginęła w trzydziestym dziewiątym od jedynej bomby, która spadła na Częstochowę.

Do późnej nocy czyta mi na głos wiersze Narcyzy Żmichowskiej, *Żyoty drzew* Juliana Ejsmonda, sonety o wnuczce z *Ogrodu życia* Henryka Zwierzchowskiego i w końcu zasypia.

Po cichu wychodzę do łazienki, przebieram się w piżamę i kładę się obok na skraju łóżka, gdzie wsłuchana w spokojny oddech siostry spoglądam na świetlik, w którym mróz dzierga wzory połyskującym szydełkiem.

Dziewiątego lutego mam urodziny, ale nie wspominam o tym siostram. Z powodu anginy zostaję na całe ferie w zgromadzeniu. Rozgorączkowana leżę w łóżku, budząc się i zasypiając, wsłuchuję się w kaprysy skrzypcowe Paganiniego, które siostra Basia gra w kaplicy.

W ostatki zagląda do mnie kuchenna Sabina, poprawia poduszki i częstuje faworkami, które usmażyła na smalcu. W pewnym momencie podchodzi do szafki nocnej i podnosi garnczek z naparem ziołowym matki przełożonej.

– Fuj, dziółcha, jak to capi. Nie pij lepi tego – mówi przerażona i wychodzi.

Wylewam napary matki przełożonej do ubikacji i od razu czuję się lepiej, a kiedy siostra Anna przynosi mi od znajomego lekarza ampicylinę w kapsułkach, całkiem zdrowieję. Podjadając wafelki, które znalazłam nocą w świetlicy w turystycznym skrzydle zgromadzenia, czytam *Medytacje Janicjusza*. Pod wpływem lektury znów myślę o dziadku Władku. Mama pisała, że miał gripę i nie czuje się najlepiej. „W nocy przekłada się z jednej strony łóżka na drugą, bo wie, że jak kostucha stoi u wezgłowia, a nie w nogach, to jeszcze jest dla człowieka jakaś nadzieja”.

Schodzę z dziadkiem ze wzgórza, mijamy las i kopalnię dolomitów. Wszystko zdaje się znajome. Nasza górka, stodoła, wychodek, kamionki, wiśnie, nasz jałowiec. Psy biegają po placu, ale nie łaszą się do nas, nie warczą i nie szczekają. Zdają się nie zauważać dziadka. Czyżby już nie żył? Pamiętam, że przed moim wyjazdem poprosił o nowy kapelusz. Mierzyłam mu tasiemką siwą głowę, ale od trzydziestego września ubiegłego roku nigdy już nie pojawił się w domu. Dręczą mnie wyrzuty sumienia.

Następnego dnia z okazji zbliżającego się Tygodnia Modlitw o Trzeźwość Narodu na polecenie siostry Zyty odrysowuję i wycinam z kartonu litery, które przybite pinezkami do listew utworzą hasło apostoła trzeźwości, Mateusza Talbota: „Oby świat dzisiejszy, zanurzony w zmysłowości, nauczył się, jak należy gnębić ciało”.

Wracam pieszo z wykładu z gramatyki opisowej i w połowie ulicy św. Barbary zaglądam w jedną ze zrujnowanych, zagraconych oficyn, gdzie uśmiechnięta przyglądam się dzieciom, które zbierają na liście łopianu biedronki, liczą kropki na ich skrzydełkach, gotują w puszkach po konserwach doprawioną piaskiem zupę z zajęczej kapusty i stokrotek albo huśtają się na oponach. Przed dziewiętnastą ich matki pojawiają się przed domem, na schodkach ułożonych z cegieł, przywołują je na kolację i zbierają ze sznurów pranie przesiąknięte chłodem.

Kiedy podwórko całkiem pustoszeje i zaczyna pachnieć kakaem i gotowanymi parówkami, robię się głodna i zawracam na główną ulicę, zmierzając w stronę kościoła św. Barbary, którego miedziany szpikulec nawleka dwie niknące w ciemności chmury. Mijam wyszorowane z okazji zbliżającej się Wielkanocy witryny i zerkam na pomarańczowy szyld sklepu zaopatrzenia duchowieństwa Temporis. Stare, rozkwitające drzewa nasączone wiosennym światłem zdają się wyciszać ulicę i zatrzymywać czas. Muskam palcami ich ciepłą korę, chropowate konary i zwisające gałązki. Wiosna panoszy się nie tylko w mieście. Kiedy pękają pąki, moja tęsknota za panem Kamilem się nasila, jest bardziej cielesna, boli, pulsuje w każdej komórce. Jego twarz przeobrażała się w mojej pamięci i szlachetnieje.

W końcu zmęczona docieram do Domu Sióstr Serca Jezusowego. Przechodzę przez żelazną bramę i zakładam chodaki. W pustym refektarzu przeglądam porzuconą na stole gazetę i czytam zakreślone czarnym flamastrem ogłoszenie zachęcające bezdzietne kobiety, lubiące naturę, w wieku od osiemnastu do czterdziestu lat, do wyjazdu do Austrii, Szwajcarii czy Bawarii. Zjadam na kolację kaszę gryczaną z kefirem, zmywam po sobie naczynia i uciekam do mojego pokoiku na poddaszu. Po kąpieli, popijając napar z leczniczych ziół przygotowany przez matkę przełożoną, zerkam na świetlik, w którym kotłuje się ocean. Przed snem, przypomniawszy sobie jeszcze raz twarz pana Kamila, czytam notatki na ćwiczenia z gramatyki opisowej, powtarzam na lektorat pierwszą koniugację z łaciny, uchylam na kwadrans okno, żeby przewietrzyć duszny

pokój.

Miauczenie marcujących się kotów brzmi jak płacz niemowląt albo przejmująca pieśń nad pieśniami.

Po śniadaniu, na które siostra Sabina przygotowała ryż na mleku, wkładam płócienną ciemnozieloną sukienkę na ramiączkach, drewniany wisiorek, sandały i wychodzę ze zgromadzenia, żeby powrócić się po centrum Częstochowy z nadzieją, że w tłumie wypatrzę pana Kamila. Wszystkie manekiny w butikach spoglądają na mnie jego oczami. Krążąc po Alejach, gapię się na twarze przechodniów. Czy go poznam po tylu miesiącach? A może na zawsze wyjechał z miasta? Czasem zdaje mi się, że go widzę pod Domem Frankego na skrzyżowaniu Pierwszej Alei i ulicy Wilsona, przy obserwatorium astronomicznym w Parku Staszica, na Skwerze Solidarności przy rzeźbie cycatej Pani Kowalskiej, która ponoć została postawiona na polecenie sekretarza partii o tym samym nazwisku; zerkam w szybę sklepu z torbami Żyrafa, w witryny Orbisu. Jednak nigdzie go nie ma.

Upał osiąga apogeum. Czuję zapach topionego asfaltu. Siadam na ławce i gapię się na budynek Cepelii, którego fasada, wyłożona kolorowymi otoczakami, mieni się w słońcu jak skóra pstrąga. Na chodnikach poniewierają się resztki balonów, kwiaty nieśmiertelników, gałązki paprotki i choiny z wieńców dożynkowych oraz chorągiewki z herbami parafii z całej Polski.

– Nasza książka dla ciebie pracuje – mówi mężczyzna, który pod słońce wygląda jak adwokat diabła i mimo upału jest ubrany w czarny garnitur i krawat ze sztucznego jedwabiu. – Ona pracuje dla ciebie trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, dwadzieścia cztery godziny na dobę, i naprawdę jest wszędzie – recytuje zachrypniętym głosem.

Wyobrażając sobie, że mówi o jakimś zbiorze współczesnych opowieści apokryficznych, wyciągam rękę w jego kierunku. Tymczasem spocony i woniejący wodą kolońską Brutal adwokat diabła sięga do aktówki, podaje mi książkę telefoniczną i znika za winklem tak samo nagle, jak się pojawiał. Nakrywam głowę żółtą

księgą i dalej siedzę na ławce do czasu, aż z Trzeciej Alei wchodzi pielgrzymka z Żytomierza z wymiętym transparentem „Dzieci Ukrainy”. Wita ich patron sanitarny z kroplówkami soli fizjologicznej. Znudzona, zwlekam się z ławki i zaglądam do czytelnicy, gdzie przez kilka godzin na prośbę matki przełożonej szukam wycinków z prasy o krwawym poniedziałku w Częstochowie.

Po wyjściu z biblioteki zakładam przeciwsłoneczne okulary, w których czuję się bezpieczniej i błąkam się do wieczora po centrum miasta, dziwnie rozgorączkowana, potykając się o ludzi, o cienie i ptaki, które sfruwają z dachu ratusza prosto na moje sandały. Mijam pachnącą napoleonkami cukiernię, sklep Lee Coopera na rogu i idę na plac Biegańskiego, przed wojną Magistracki, gdzie w pierwszych dniach wojny, w poniedziałek czwartego września, ludzie godzinami leżeli twarzą do ziemi.

– Była może godzina ósma, dziewiąta wieczorem – opowiada mi kobieta, którą spotykam spacerującą przy ratuszu. – Siedzieliśmy w domu. Był ojciec, brat, no, matka i ja z dzieckiem, bo mąż mój poszedł na wojnę. Światła my w ogóle nie palili, bo nie wolno było. Dużo sąsiadów pouciekało, a mój ojciec nie chciał uciekać, bo była tu taka sąsiadka, która mówiła, nie uciekajcie, nic wam nie zrobią. No i mój ojciec jej usłuchał, a reszta wszystko pouciekało. Na przykład mój drugi brat uciekł het w pole, w Kawie Góry, i tam leżeli w kartoflach do samiusieńkiego rana, ale mój ojciec nie chciał uciekać. Od Warszawskiej usłyszałam strzelaninę i wpadli do nas. Zaszli do wszystkich mieszkań, gdzie było zamknięte, to kolbami walili, drzwi popsuli, zamki powyrywali, no i tak szukali mężczyzn. Wszystkich wyprowadzili na ulicę, a tam było pełno aut. Dwunastu mężczyzn ustawili pod oknem, a nas, kobiety, pod drugim, naprzeciwko. Ja miałam na ręku dziecko, syna, który miał skończyć rok dwudziestego pierwszego września. Doszłam do mojego ojca i mówię: Tato, gdzie ty pójdziesz? A ja wim, córcia? Ja wim? Wygnali nas wszystkich na podwórze, bramy zamknęli. Trzymali i trzymali z rękami podniesionymi do góry pod murem. Mieli karabin maszynowy i taki starszy wyjął taki papier i coś po

niemiecku przeczytał, i tylko powiedział „haj hitla”, wojsko powtórzyło za nim, i dał rozkaz. Mój ojciec został ranny, upadł, a brat i ci wszyscy inni byli zabici. Potem Niemcy poszli do auta, ale jeden się wrócił i rzucił jeszcze granat, i ten granat mojego ojca wtedy... Jak się przyszło potem, to było okropne! Boże, jak ja spojrzałam na tego mojego brata. Taki biedny leżał. No i myśmy musieli ich pochować, ale to było chowanie takie, że sami my ich grzebali, własnymi rękami. A wieczór był taki widnusięński, taki widnusięński...

Rozglądam się po mieście. Nad trotuarem balansują trącane przez wiatr baloniki. Emerycy przysypiają pod parasolami. Podpici i oplastrowani pielgrzymi w słomianych kapeluszach, w fikuśnie zawiązanych gawroszkach na głowie snują się wokół klasztoru, przy łaźniach Domu Pielgrzyma i na stacjach drogi krzyżowej. W przejściach podziemnych wolontariusze rozdają wodę i prezerwatywy, kieszonkowcy, sekciarze i dziwki dzielą się rewirami. Świadkowie Jehowy, zaopatrzeni w nieaktualne numery „Strażnicy”, głoszą kolejny koniec świata. Młodszy pielgrzymi, zgrupowani przy pawilonach, altanach, knajpach Prasowej, Wakansie czy Aleksie, nucąc *Abba Ojczy*, rozglądają się za całodobowymi sklepami alkoholowymi i dilerami, których w sezonie pielgrzymkowym nie brakuje pod Jasną Górą. Siadam na murku i nie zdejmując przeciwsłonecznych okularów, ukradkiem dotykam dłonią rozgrzanego betonu. Miasto wypełnia kakofonia gitar, harmonijek i bębnow, lecz pod jego podszewką zalegają pokłady ciszy, ledwo wyczuwalnie pulsują podziemne rzeki – jakby ziemia była zapominaniem.

Po apelu jasnogórskim, kiedy robi się szarówka, przyspieszam kroku, przecinam Park Staszica i stąпам wolno wśród znieczulonych alkoholem i pogrążonych we śnie ciał pielgrzymów, którzy leżą na ławkach i karimatach pod drzewami, jakby stoczyli niedawno jakąś ciężką bitwę.

Minąwszy sklepiki z dewocjonaliami przy ulicy Siedmiu Kamienic, skręcam w lewo, na ulicę św. Barbary, która biegnie stromo w dół, aby po przecięciu ulicy Kazimierza znów wznieść się na niewielką górkę i ponownie opaść w stronę kościoła. Zatrzymuję się w rzędach opustoszałych o tej porze drewnianych straganów, gdzie poniewierają się patyczki po lodach, połamane parasolki, sreberka, butelki i kartki „Merkuriusza Kupieckiego” z harmonogramem sierpniowych pielgrzymek.

Pod pułapem jednej z drewnianych budek urzęduje mój nowy przyjaciel, oswojony szczurek, którego nazywam Rydzykiem, bo jego sierść w zależności od oświetlenia zmienia kolor: raz zdaje się rudoszara, innym razem brunatna. W ciemności za zwisającym strzępem folii świecą jego oczka jak ziarenka nafaszerowane fosforem. Kiedy Rydzyk rozpoznaje mój zapach, zbiega po belce wprost na ramię i gapi się uparcie, wyczekując, aż podzielę się z nim chlebem, kawałkiem obwarzanka czy kajzerki, które dostaję od zaprzyjaźnionej handlarki. Całuję Rydzyka w ruchome, lśniące wąsiki, kładę go na ramię i przysiadam na schodkach oficyny, tuż przed apteką, gdzie w czerwonym świetle reklamy lekarstwa na serce ścieram tusz z oczu, zdejmuję kolczyki i związuję włosy w kitkę, by w tej pensjonarskiej wersji wkroczyć do domu oblatek. Odkładam Rydzyka na dziedzińcu obok kosza na śmieci, uchylam drzwi i patrzę za nim chwilę, jak sunie zygzakiem w stronę straganów niczym brunatny listek pchany przez podmuch wiatru. W oknach dormitarzy pęcznieje złote światło. Żelazna brama jest zamknięta. Boję się dzwonić domofonem, żeby w środku nocy nie pobudzić sióstr, więc przerzucam plecak przez furkę i wspinam się na bramę okolona szpikulcami jak rusztem. Zaniepokojona hałasem odzwierna wygląda na zewnątrz i zauważa mnie wiszącą na ogrodzeniu.

– Ostatni raz wpuszczam cię o tej porze – mówi i grozi mi placem z okienka recepcji, gdy wchodzę do budynku zgromadzenia.

– Przepraszam, siostro. – Zerkam na nią błagalnie, prosząc w myślach, aby mnie nie zdekonspirowała.

– Żeby mi to było ostatni raz, bo powiem o wszystkim matce przełożonej.

– Dziękuję.

– A teraz szoruj na poddasze.

– Tak jest – recytuję jak drużynowej, zabieram swoje chodaki zza figury św. Barbary i wlokę się na poddasze. Po drodze wpadam na płaczącą matkę przełożoną, która siedzi na podłodze oparta o drzwi swojego gabinetu.

– Stało się coś, matko? – pytam przerażona i próbuję ją podnieść.

– Siostra Basia... – próbuje mówić, połykając łzy. – Nie będzie już muzyki, córciu. Nasza Basia umarła... a zawsze tak na siebie uważała.

Piętnastego sierpnia, w dniu Matki Boskiej Zielnej, cały ranek myję ludwikiem konfesjonał w kaplicy, potem rzucam szmatę w kąć i siadam na ławce pod drzwiami refektarza, przy futrynie przystrojonej choiną i wiązkami polnych kwiatów i czekam cierpliwie na moją kolej, podsłuchując siostry, które debatuja o ważnych sprawach zgromadzenia. Po domu Serca Jezusowego roznosi się zapach rosołu siostry Sabiny. Mieszanka aromatów: liści laurowych, pora, selera, ziela angielskiego, lubczyku, pietruszki, przypalanej na fajerkach cebuli, pieprzu; odgłosy jego tłuczenia przypominają mi zawsze moją babcię Stefanię. W sierpniu 1979 jako pięciolatka ledwo sięgałam głową nad stół, a już potrafiłam wydoić krowę, obrać kartofle i ugotować zupę. Babcia wołała mnie do stodoły, kazała stanąć przy sieczkarni i z całych sił kręcić korbą. Koła wirowały jak mechanizm w pozytywnie, sieczka spadała do kosza i na moje bosc stopy, przyklejała się do poplamionego śmietaną i sokiem z jeżyn ubrania. Kurz i plewy wirowały w pręgach słońca. Podkładałam do drewnianego koryta kolejne wiązki słomy, a sieczkarnia je połykała, skrzypiąc przy tym radośnie jak rozhuśtana kołyska. Cieszyły mnie te kręciołki i czułam się wyróżniona tym, że babcia poświęca mi aż tyle czasu. To, co odbierałam jako zabawę z babcią w stodole, było tak naprawdę częścią przysposobienia do pracy na gospodarce.

Matka przełożona przywołuje mnie do refektarza. Siadam naprzeciwko niej przy stole i gapię się na talerz parującego rosołu z makaronem.

– No jedz, jedz, tylko nie zapomnij – mówi z tajemniczą miną.

– Pobłogosław Panie Boże nas, ten posiłek – recytuję, myśląc, że chodzi jej o modlitwę przed jedzeniem – i tych, którzy go przygotowali, i naucz nas...

– Anula! – przerywa mi podekscytowana, nazywając mnie nie moim imieniem i kładzie na stole puzderko przyozdobione wstążką.

– Zapomniałaś, że dziś są twoje urodziny?

Zerkam na nią, zaniepokojona.

– ...dzielić się chlebem i radością ze wszystkimi. – Zaczepuję powietrza i mówię: – Matko, moje urodziny są w lutym.

– Nie drocz się już ze mną, dziecko, i rozpakuj.

Z oporem rozwiązuję wstążkę i zaglądam do puzderka, w którym znajduję złoty pierścionek z kameą.

– Bóg zapłać, matko, ale nie mogę tego przyjąć.

Matka przełożona pochyla się nad stołem i wsuwa mi pierścionek na palec.

– Powiedz mi lepiej, po co poszłaś dziś do Grand Café?

– Grand Café? Nie wiem, gdzie to jest. Jeszcze nie znam tak dobrze Częstochowy.

– W takim razie co cały dzień robiłaś?

– Przed południe siedziałam w czytelni, a potem poszłam na spacer.

– Wiem, wiem, dziecko, że nie chcesz albo nie możesz o tym mówić, ale na Boga, jeśli już musisz się spotykać z tym Leonem, to nie chodź do Grand Café, bo tam pełno folksdojczów się kręci.

Krztuszę się, bo w tej chwili dociera do mnie, że matka przełożona, jak moja babcia, prawdopodobnie ma problemy z pamięcią.

– Pospiesz się lepiej z tym jedzeniem, bo zaraz musisz iść na komplety u Idzikowskiej.

W drzwiach refektarza pojawia się siostra Zyta i daje znak matce przełożonej, że czas na nieszpory.

Gdy matka wychodzi z refektarza, szepcząc pod nosem przekleństwa lub słowa komplety, siostra Zyta podchodzi do mnie, opiera się o stół i zauważywszy złoty pierścionek z kameą na moim palcu, wymierza mi siarczysty policzek.

– Ja ci dobrze radzę, smarkulo – mówi jadownicie – ty się lepiej wynoś póki czas i zostaw matkę Stanisławę w spokoju.

– Ale...

– Nie przerywaj, kiedy do ciebie mówię. Dobrze wiem, że ją prowokujesz i niepotrzebnie wojnę wspominasz.

– Ale ja nic nie zrobiłam, siostrzo, słowo. – Twarz piecze mnie z bólu. – Matka sama mnie wciąż zagadywała i wspominała coś o mężu i szwagrze aptekarzu, przysięgam.

– Zamilcz, niewdzięcznico, i nie kłam, bo ci pypeć na języku

wyrośnie. Matka przyjęła cię pod swój dach, a ty tak się jej odwdzięczasz? Stasia wiele przeszła w czasie wojny. Rozumiesz?

Zamiast odpowiedzieć, gapię się na srebrny krzyżyk, który połyskuje na jej szyi jak wyliniała z larwy jętka.

Po powrocie na poddasze zrzucam atlasową narzutę na podłogę i na złość siostrze Zycie, która kilka razy w tygodniu przeprowadza inspekcje w moim pokoju w poszukiwaniu fifek, tabletek, papierosów, czegokolwiek, co stanowiłoby pretekst do wyrzucenia mnie ze zgromadzenia, kładę się w chodakach na czystej pościeli. Policzek wciąż mnie piecze.

Mam kilka lat i nie potrafię się schować. Wszyscy są ode mnie silniejsi, wymachują rękami, jakby chcieli wyszarpać ze mnie coś na własność. Ojciec krzyczy, że jestem podciepem, w dodatku pierońskim. Nie rozumiem tych słów, tak samo jak tego, dlaczego w wakacje, po odpuście, zbił mnie do krwi wojskowym pasem. Może coś zrobiłam nie tak, rozrzuciłam jego spławiki albo on zrobił to ze strachu, że niechcący zdradził mi po pijaku swoją tajemnicę? Babcia bije mnie dla zasady, ścierką, witką, wszystkim, co akurat wpadnie jej w ręce, z otumanienia, przez niedoczytność tarczycy. Nauczycielka bije linijką po palcach, dłoniach, bo nienawidzi swojej pracy, chłopcy podstawiają nogi, biją witkami, macają w szkolnej kotłowni, nacierają twarz śniegiem na boisku przed szkołą dlatego, że jestem bezbronną dziewczynką. Tylko dziadek, który musiał zabijać podczas wojny, nikogo bić już nie zamierza; bierze kilof, szpadel, łopatę i ukrywa się w kamieniołomie za stodołą, gdzie utyłany po uszy w błocie i pyłe, godzinami wydobywa kamień wapienny. Mama, sfrustrowana życiem, wybrykami ojca i tragiczną śmiercią ukochanej starszej siostry, bije najczęściej – prawie za wszystko. Pewnego popołudnia zauważyła wesz na moim kołnierzyku i uderza mnie tak mocno w plecy, że zataczam się przy rozgrzanym do czerwoności piecyku, a ponieważ mam niewiele lat, zaczynam podejrzewać, że jako podciep mam złą, zbyt słodką krew i wszy lęgną się w moich włosach samoistnie; z tego powodu zaczynam ciąć sobie ręce szkłem. Mama, myśląc, że to przypadkowe rany, polewa je wodą utlenioną, czasem piekącym spirytusem salicylowym, zakleja plastrem, całuje mnie w policzki i rozmasowuje mi plecy, grzeje wodę i w kłębach pary szoruje mi głowę. Potem wyczesuje wszy gęstym grzebykiem na gazecie i zgniata je paznokciem na łysinach dygnitarzy. Kiedy zauważyła, że wciąż mam we włosach

gnidy, a wyczesywanie nic nie pomogło, bierze rower ze stodoły i jedzie cztery kilometry do gminnego miasteczka do apteki, gdzie kupuje śmierdzący jak środek na stonki specyfik, smaruje nim moje kręcone włosy, obwija głowę chustką i każe siedzieć w niewygodnym turbanie pół dnia na strychu. Głowa swędzi i piecze. Bawię się w chowanego z kotem, rysuję palcami po zakurzonej podłodze, układam z odłamków lustra mozaikę i zaglądam pod plandekę, gdzie biegają skorki, butwieją jabłka i wschodzą seledynowe kielki owsa. Na sznurach schną pachnące polleną ubrania i babcine zioła: mięta, szałwia i wrotycz. W wiązkach makówek gasną odcienie zieleni, fioletoów i błękitów. Gołębice wążą do gardziołków piskląt.

Nagle zza pustej beczki wynurza się popychany przez pręgę światła pękaty, opasany czerwoną taśmą jak szambelan worek z pszenicą.

– Podciep, podciep! – szepczą makówki.

– Pog-pog ciep, pog-pog ciep – powtarzają gołębice.

Przestępuję z nogi na nogę, kiwam się jak ogłuszone łopata szczenie, potem chwytam metalowy pręt i pamiętając wszystkie uderzenia, wszystkie ciosy, wszystkie razy, szarpania i klapsy, grzmocę worek tak długo, aż juta pęka. Przez otwór wycieka złoty strumień ziaren.

O dwudziestej pierwszej bicie dzwonów wzywających na apel jasnogórski przypomina mi o ostatnim poleceniu matki przełożonej. Wdychając lekko otumaniający zapach kleju z taśm, którymi są pozaklejane kartony, rozstawiam na stole różowe i niebieskie butelki z plastiku imitujące postać św. Barbary, które siostry nazywają maryjkami. W pokoju jest tak cicho, że słyszeć cukrówki skaczące po dachu.

Nakładam na butelki zakrętki w formie korony i naklejam etykiety z logiem zgromadzenia tak długo, aż dwukolorowa, różowa i niebieska, armia maryjek staje gotowa do ataku w dwóch rzędach na stoliku. Uchylam okno. Gorące powietrze wzdyma im brzuszki. Z piekarni Kryk, która w czasie pielgrzymek pracuje pełną parą, docierają smakowite zapachy.

Zbiegam po schodach prosto do piwnicy, gdzie znajduje się schowek zakonny. Drzwi do pomieszczenia są uchylone. Zaglądam do środka. W zaciemnionym kącie, przy zawiniętej w folię sztucznej choince, miga rąbek chustki siostry Anny.

– Szczęść Boże, Wioletto, widzę, że znowu zapomniałaś o butelkach. Robię akurat inwentaryzację i wystawiłam przy drzwiach twój przydział, żebyś nie musiała ich szukać.

– Bóg zapłać, siostrze.

Zmęczonym wzrokiem spoglądam na dwa pudła ze starannie wykaligrafowaną sygnaturą WR11.15.08.1995: moje inicjały, Wioletta Rogala, numer pokoju i bieżąca data.

– Nie wydaje ci się dziwne, siostrze, że matka poświęca aż tyle czasu na wypisywanie tych numerów na pudłach? – pytam.

– Może jej się nudzi albo wiesz, uspakaja ją to po prostu – odpowiada zamyślona, po czym siada na gazetach w kącie magazynku. – Tadam! Zobacz, co mam! – Wyciąga spod fartucha bombonierkę z czekoladowymi kocimi języczkami w niemieckim opakowaniu.

– *Katzenzungen!* Jak ładnie się nazywają! – Przysiadam obok siostry na pudle z opłatkami.

– Matka przełożona byłaby innego zdania. – Uśmiecha się i mruga porozumiewawczo.

Delektując się smakiem czekoladek, których nie jadłam od Bożego Narodzenia, myślę o dziadku, który nienawidził niemieckiego tak samo jak matka przełożona, i znów wodzę wzrokiem po cyfrach wykaligrafowanych na kartonach, wyobrażając sobie, że nagle znajduję się w labiryncie z uwięzionymi kobietami, z którego może wyjść tylko ta, która odgadnie tajemnice wszystkich znaków. Niektóre liczby zdają się powtarzać, układają się w jakieś ciągi i szyfry. Być może są to ważne daty z życia matki przełożonej.

– Wciąż pijesz te ziółka? – pyta niespodziewanie siostra Anna. – Mizernie ostatnio wyglądasz – dodaje, wpatrując się w moje blade policzki. – Masz zajady i podkwy pod oczami. Może wybierzemy się do lekarza?

Zamiast odpowiedzieć, zerkam na zegarek przypięty do jej szczupłego nadgarstka.

– O rany, jak późno. Muszę już lecieć, siostró, bo nie skończę na jutro tych maryjek. Dobranoc.

– Dobranoc, dobranoc, pchły na noc – odpowiada i po chwili recytuje zwrotkę ballady Narcyzy Żmichowskiej:

„Ach! strzeż się!, ach!, strzeż się – ta czarnoksiężnica,
co pieśnią rozmarza, co w dźwięki zachwyca,
Już leci tak blisko, już gwiazdy przesłania,
Już serce wydziera, już duszę pochłania”.

Myśląc o panu Kamilu, długo i boleśnie się onanizuję. Czasem szczypię się tak mocno w przedramiona i uda, aż pojawiają się na nich siniaki. Posiniaczone tkanki nabierają kolorów i tracą przezroczystość, sprawiając, że na chwilę odzyskuję ciało, o którym kilka lat wcześniej wolałam zapomnieć. Bez zapalania światła krążę po zgromadzeniu, zaglądając we wszystkie zakamarki, kąty i dziurki od klucza. W dormitarzach przesiąkniętych zapachami topionego wosku, kadzidła i pasty do podłóg czają się bolesne tajemnice. Zatrzymuję się przy gabinecie matki przełożonej, przekręcam złotą gałkę i wchodzę do środka. Z zasklepionych woskiem świeczników, z wydlubanych piórem, pobrudzonych atramentem otworów wystają pukle różnokolorowych włosów, pomięte kartki brewiarza, sreberka po cukierkach. Na wypolerowanym biurku stoi oprawiona w pozłacaną ramkę fotografia młodej dziewczyny. Z wrażenia przysiadam na krześle. To ona! Tak łudząco do mnie podobna: ma jasne kręcone włosy i piegi na policzkach. Biorę portret do ręki: A więc to ty jesteś jej Anulą? Zdejmuję gumkę z włosów i przeglądając się w szybie, próbuję uczesać się podobnie, z przedziałkiem na środku głowy. Zerkam na powieszzone nad biurkiem obrazy. Wszyscy święci z pastorałami, berłami, czaszkami, liliami, infułami, palmami i pawimi piórami wychylają się z pozłacanych ram, jakby chcieli odlecieć na szczyt Jasnej Góry, na stołp ruin olsztyńskiego zamku lub maszt telewizyjny na ostańcowym wzgórzu Błeszno.

Obok teczek z rachunkami na biurku znajduję pokreślony piórem i zafoliowany wycinek z gazety ze zdjęciem blondynki. Margot Pietzner, po mężu Kunz, do kwietnia czterdziestego piątego była aufzejerką w Ravensbrück. Po wojnie aresztowana i skazana przez radziecki sąd wojskowy, spędziła za kratkami osiem lat. Po wyjściu z więzienia, na podstawie umowy zjednoczeniowej, skorzystała z możliwości ubiegania się o odszkodowanie za lata spędzone w areszcie i otrzymała zadośćuczynienie w wysokości sześćdziesięciu czterech tysięcy marek zachodnich. Mój wzrok zatrzymuje się na zamieszczonej w prawym dolnym rogu, tuż obok artykułu, reklamie orzeszków Felix, których producent zachęca do kupna, obiecując

klientom wygraną w wysokości pięciu marek ukrytych w wybranych puszkach. Dziwi mnie taki zbieg okoliczności, który wygląda niemal jak wojenne ogłoszenia w „Kurierze Częstochowskim” typu: „Miotły przysły: gaszę światło w gabinecie”. „Margot, ty suko!”, pobrzmiewają w mojej pamięci słowa. Czy gdzieś je słyszałam? Klapiąc nerwowo chodakami o klepki parkietu, chodzę w tę i we w tę, od ściany do ściany, jakbym przebywała w ciemnej celi. W końcu, nie mogąc dłużej zostać w tej przestrzeni wypełnionej cudzymi głosami, gdzie zegar tyka jak serce Giordana Bruna, a w snach to, co się zdarzy, nabiera kolorów, zatykam obiema dłońmi uszy i zdenerwowana uciekam z gabinetu, nie pamiętając nawet, czy zatarłam za sobą ślady, przekreśliłam złotą gałkę i zatrzasnęłam drzwi. Przechodzę przez wąski przedsionek do świetlicy w turystycznym skrzydle zgromadzenia, gdzie jak zwykle wyjadam z lodówek resztki jedzenia pozostawione tam przez zagranicznych pielgrzymów. Wypluwam przeżute opakowanie po serku topionym do kosza i wpatrzona w pustą lodówkę, walczę ze sobą, aby znów nie wypić pół butelki maggi, octu, nie zjeść resztek masła czy zeschniętej skórki chleba. W końcu jednak się uspokajam i wracam na poddasze.

Mając przed oczami fotografię twarzy Margot, nie mogę zasnąć. Komary brzęczą rytmicznie, jakby kopulowały. Sierpniowa noc tapla mnie w czymś odurzającym, jaśminowo-karmelowym, i nie daje spać. Trzęsę się pod kołdrą i czuję, że coś się we mnie zagnieżdża. Strzępy cudzych wspomnień i słów dokonują przemiany. Przypominam sobie ten dzień, gdy zrywając wiśnie, niechcący potraçałam drabiną kokon os. Stałam przy czubku drzewa i zrywałam do wiaderka dojrzałe, prawie czarne owoce. Nagle na udach, plecach i ramionach poczułam tak przeszywające ukłucia, jakby ktoś strzelał do mnie z wiatrówki albo przypalał papierosem. Rozwścieczone osy żądliły mnie raz po raz. Oszołomiona bólem i strachem puściłam drążek drabiny i spadłam z najwyższego szczebla prosto w pokrzywy, które okalały rząd wiśni rosnących przy miedzy. Podniosłam się i obolała pobiegłam do domu, gdzie babcia posmarowała moje uządlenia kwaśnym mlekiem. W nocy ze

stresu lub nadmiaru jadu dostałam wysokiej gorączki. We śnie, gdy przebiłam się przez biały kokon i odgarniałam coś, co wyglądało jak wełna szklana, zobaczyłam ich, moich umarłych: niedawno zmarłego dziadka Władka, babcię Salomeę z Sosnowca, którą znam tylko z portretu, bo zmarła na serce dawno temu, babcię Stefanię, dziadka Stanisława, ciocię Anię, chrzestnego Józka, stryjów i stryjenki; rozpoznałam ich jakimś innym zmysłem, choć nie mają już twarzy ani cech indywidualnych. Ta siła, jedno, wytrącone z wielu, grzęzawisko.

– Wsiąknij w nas! Wypłyń! Wsiąknij! – szepczą, aż tu zaczyna się przedwiośnie, w którym po chwilowym ociepleniu mróz ścina roztopy, zamieniając łąki wokół naszego kamiennego domu w mozaikę potrzaskanych lusterek. Nagle wszyscy bliscy kolejno wychodzą z pokoju i gdy długo nie wracają, szukam ich w sieni, w izbach, na strychu; podchodzę do drzwi, by sprawdzić, czy nie ma ich na zewnątrz, na placu, ale nie mogę przekroczyć progu. W końcu rosną mi skrzydła jak liście miechunki i wylatuję na podwórko, gdzie na środku płonie ognisko. Czuję smród tłących się opon, spalonych włosów i skóry. Z szopy wychodzi ona, Margot Kunz, urocza ekspedientka przekwalifikowana w latach czterdziestych na kata. Szkolenie na aufzejerkę przeszła z wyróżnieniem w obozie Ravensbrück pod czujnym okiem Marii Mandel.

Te oczy puste, niewiadomego koloru, ciemne, ładnie zarysowane w łuk brwi, cera jasna, wrażliwa, z wypryskami, delikatna szyja ze świeżymi malinkami, na palcu obrączka. Głos miły, niski, łydki mocne, stopy drobne. Poprawia mundur, dopina guzik pod szyją i uśmiecha się do mnie. Na jej widok skaczę w płomienie.

Po obiedzie, na który siostra Sabina przygotowała łązanki z grzybami i kiszoną kapustą, wracam do pokoju, zamykam drzwi na haczyk, otwieram szafę i wydaję z tajnej skrytki w walizce Waldkową „Uranie”, która w trakcie wielu miesięcy mojego pobytu w zgromadzeniu zdążyła przesiąknąć zapachem kadzidła, wosku i lawendowej kostki na mole.

„W czasie pogodnych nocy”, czytuję, „gdy św. Jerzy gra na skrzypcach, jest tak uroczo, że każdy człowiek żywy, który usłyszałby tę muzykę, umarłby ze wzruszenia. Ale grzesznej istocie niedozwolone jest słyszeć owych pieśni. Czasem tylko niemowlę, w kolebce śpiące, nocą z nagłą się uśmiechnie; rodziciele nie mogą sobie wytłumaczyć tej radości dzieciny, znak to jednak, iż przez sen usłyszało pieśni płynące z wysokiego Nieba. Dzieci niewinne mają bowiem dar widzenia rzeczy niezwykłych, a według wierzeń żydowskich są w stanie zrozumieć mowę ognia, zwierząt, wiatru i duchów. Dorośli nie mogą jednak patrzeć na Księżyc, gdy św. Jerzy gra, bo struna mogłaby pęknąć i ślepotą przytrafić się patrzącemu”.

Wtem metaliczny dźwięk, przypominający uderzenia pałeczek w sztabki ksylofonu, roznosi się po dziedzińcu. Wyglądam przez uchylone okienko na zewnątrz. Księżyc przykleja się do jasnogórskiej wieży jak huba do pnia brzozy. Cień mężczyzny wydłuża się na asfalcie. Za żywopłotem miga jego skórzana kurtka. Nie mogę uwierzyć własnym oczom. To on, pan Kamil! Tyle miesięcy go szukałam, a tymczasem sam pojawił się przed żelazną bramą. Wygląda dokładnie tak jak na Hektarach. Stoi na ulicy i pokazuje coś na mię. Rzucam chodaki w kąt pokoju i z walącym sercem, w samej piżamie, zbiegam bosko na parter. Odczekuję chwilę na korytarzu i korzystając z okazji, że odzwrotna wychodzi do ubikacji, naciskam pomarańczowy przycisk na konsoli. Drzwi wyjściowe się otwierają. Mijam przedsionek i klapiąc bosymi stopami o beton dziedzińca, biegnę do żelaznej bramy, gdzie wyczuwam zapachy benzyny, orientalnej wody kolońskiej i tytoniu. Jestem bliska płaczu. Zaciskam dłonie na prętach. W sierpniowym powietrzu metal traci gęstość. Na początku nie mogę zrozumieć słów pana Kamila, który mówi szybko i chaotycznie. Dopiero po chwili

docierają do mnie strzępy zdań:

– Wybacz mi, wybacz... – Całuje moją dłoń.
– Co mam panu wybaczyć?
– Wszystko mi wybacz. Niedawno wróciłem do Częstochowy.
– Wyprowadził się pan?
– Jeżdżę co jakiś czas do chorej matki, która mieszka w Katowicach.

– Trochę się o pana martwiłam, gdy przestał pan przyjeżdżać na Hektary.

– A czy u ciebie wszystko w porządku? – dopytuje, wpatrzony w dekolt piżamy, gdzie widać fragment mojej małej, jędrnej piersi. – Bardzo wyszczuplałaś, Wiolu, od czasu, kiedy cię ostatni raz widziałem. Jesteś chora? Dlatego się ukrywasz w tym dziwnym zgromadzeniu?

– Nie, nie, nic mi nie jest – odpowiadam drżącym głosem. – Wynajmuję u sióstr pokój na poddaszu. To długa historia. Kiedyś panu opowiem.

– Martwiłem się.
– Jak mnie pan tu znalazł?
– Byłem u ciebie w domu kilka razy. W końcu twój dziadek dał mi adres.

– Mój dziadek? – pytam zdziwiona, ponieważ wyduszenie od staruszka jakiegokolwiek informacji wydaje mi się graniczyć z cudem.

– Nie myśl sobie, że łatwo mi poszło. – Uśmiecha się. – Musiałem mu najpierw postawić pół litra.

Rozmawiamy chyba za głośno, bo światło w przedsionku zgromadzenia migocze i nierównym szlaczkiem wycieka przez okienko na dziedziniec. Słyszymy trzaśnięcie drzwiami. Ktoś powoli schodzi po schodkach, stuka o beton zakonnymi chodakami i zbliża się do nas.

– Muszę pana przeprosić, ale nie mogę o tej porze przyjmować gości.

– Rozumiem. Przecież się nie zapowiedziałem. Przyjdź jutro o czwartej do Parku Staszica. Będę czekał przy fontannie. – Posyła mi całusa i wycofuje się za murek.

– Kto tam? – dociera do mnie tubalny głos matki przełożonej.

– To ja, matko. Duszno mi się zrobiło, to wyszłam na chwilę na świeże powietrze, a potem usłyszałam jakiś hałas za bramą.

Matka przełożona błyska mi latarką w twarz i przyglądając się nieufnie, kieruje snop światła w stronę furty.

– Koty na ulicy się szwendają.

– Ten, który tu przed chwilą stał, nie wyglądał na kota. To był ten twój Leon. Prawda?

– Leon? – powtarzam i imię nieznanego staje się mi tak bliskie, jakbym znała go pół życia.

– Dobrze wiesz, o kim mówię. Nie udawaj Greka. Zyta kiedyś was widziała całujących się w bramie. Musicie skończyć z tymi rendez-vous dla własnego dobra. Wojna to nie najlepszy czas na takie szaleństwa.

– Ale, matko...

– Ja cię proszę, Anula. Ty nie ryzykuj. Wiem, że dla niego te papiery roznoś.

Próbuję coś odpowiedzieć, ale w tym momencie rozlega się grzmot.

Chmury w konwulsjach płyną po niebie.

Matka przełożona podnosi do góry ręce i próbuje przekrzyczeć burzę:

– Margot, ty suko!

Mając w pamięci wycinek z gazety, który znalazłam niedawno na jej biurku, domyślam się, że znała Margot. Nie potrafię się poruszyć. Stoimy naprzeciw siebie: ja bosa, drżąca z zimna w rozchełstanej piźamie, ona w aureoli światła, z podniesionymi do góry rękami, jak więźniarka na apelu.

Ciężkie krople deszczu strącają płatki róż na przekwitłych klombach i uderzają o brudny beton.

Nad dziedzińcem unosi się nieporównywalny do niczego zapach mokrego kurzu.

Poranne ćwiczenia z łaciny dłużą się jak roraty. Lektorka zapisuje na tablicy trzecią koniugację:

– *Vivo*, żyję, *vivis*, żyjesz, *vivit*, żyje, *vivimus*, żyjemy – recytuje, a ja zerkam za okno.

W żywopłocie przed budynkiem dziekanatu na Armii Krajowej buszuje sroka: *Rorate caeli desuper*, Spuśćcie rosę niebiosa, skrzeczy, potem sfruwa na chodnik i próbuje wydziobać oko plastikowej laleczce porzuconej obok śmietnika. Międlę w ustach każde słowo, rozkładam je w zeszycie na czynniki pierwsze i nie mogąc się doczekać spotkania z panem Kamilem, próbuję sobie przypomnieć jego twarz, dłonie, usta. Trudno mi odtworzyć jego obraz z pamięci, bo wciąż wydaje mi się inny.

Po zajęciach wymykam się do ubikacji, gdzie tuszuję rzęsy, przebieram się w obcisłe body, wymieniam wygodne trampki na brązowe koturny. Rozpuszczone włosy spryskuję fioletowym Impulsem, który pachnie jak popłuczyny po Chanel No. 5, i w aurze topionego wosku, pomarańczy i fiołków biegnę do Parku Staszica.

Pan Kamil czeka na mnie w południowej części, przy fontannie, tak jak obiecał, i co rusz zerka na zegarek. Zatrzymuję się nieopodal za wierzbą płaczącą, tak żeby mnie nie zauważył. Może po tylu miesiącach, od czasu naszego ostatniego spotkania na Hektarach chcę się nasycić jego widokiem, zapamiętać go takiego na zawsze: na tle fontanny, gdzie bryzgi wody rozszczepiają światło i puszczają na jego twarz tęczowe zajęczki. Wysoki, śniady, z pofalowanymi brązowymi i opadającymi na ramiona włosami wygląda jak Nazarejczyk wkomponowany w witraż. W końcu nie wytrzymuję i wołam go po imieniu. Podchodzi, a właściwie podbiega do mnie, podaje mi bukiet chabrów i próbuje pocałować w dłoń. Ponieważ nie przepadam za tym gestem, który kojarzy mi się z oślinionymi wujkami z odpustów, wesel i imienin, w odruchu obronnym przekręcam rękę. Jego usta muskają mój przegub. To jest ponad moje siły. Wspinam się na palce, bo nawet na koturnach nie jestem zbyt wysoka i chcąc oddać pocałunek w świeżo wygolony policzek ze śladami zacięć, trafiam ustami w jego szyję. Pan Kamil obejmuje mnie i przechyla.

– Niech mnie pan puści! – piszcze rozbawiona.

Idziemy na spacer w Aleje, które na wzór paryskich bulwarów zaprojektował polski inżynier niemieckiego pochodzenia, Jan Bernhard. Po kilkunastominutowej przechadzce po mieście zatrzymujemy się w oficynie Alei 52, gdzie na elewacji frontowej, nad oknem pierwszego piętra, znajduje się popiersie Jana Gutenberga.

– W tym budynku kiedyś mieściła się drukarnia, gdzie Franciszek Wilkoszewski wydawał „Gońca Częstochowskiego” i serie akwarelek z widokami Częstochowy. Czytałem, że odbijał druk czcionkami z linotypów na maszynie rotacyjnej, ale może nie będę już przynudzał. Chodźmy lepiej do Cepelianki na piwo.

Zamiast odpowiedzieć, rozglądam się po podwórku, gdzie nie wiadomo dlaczego słychać rytmiczne odgłosy maszyn drukarskich, brzęczenie zecerni, stukanie linotypów.

Zachodzące słońce zahacza o nasze tęczęwki, powoli przerzuca się na okna oficyny.

W Cepeliance zajmujemy miejsce przy sadzawce na patio, gdzie zamawiamy dwa kufle piwa. Zawiany barman znika za kantyną, by oddać się grze w GameBoya.

– Boże, dziewczyno, martwię się o ciebie. Dlaczego, do cholery, mieszkasz w tym zakonie? Nie przyznali ci akademika?

– Wynajmuję tam tylko pokój i niedługo się wyprowadzę – odpowiadam, niepewna swych słów.

Pan Kamil przysuwa się do mnie i zebrawszy ręką moje rozwichrzone loki, zagarnia je za ucho. W jego palcach włosy się elektryzują. Wskrzeszone iskierki płoną jak meteoryty i znikają w ciemnym powietrzu.

– Słyszałem, że u was na uczelni jest taki profesor, którego studenci nazywają częstochowskim Brücknerem albo panem od słowników? – zagaduje chyba tylko po to, aby przerwać krępującą ciszę.

– Brankowski?

– Właśnie, Brankowski. Czy to nie ten, który wchodzi na ławkę i robi kwiat lotosu? Był chyba zakonnikiem albo sam siebie nazywa teologiem.

– Dokładnie, to ten. Spotkał go pan?

Pan Kamil zamawia nam po drugim piwie i gdy w sadzawce obok cmoka karp, przechyla się na krześle i muska palcami tafłę wody. Od razu dostrzegam ten gest i czuję skurcz w podbrzuszu. Odruchowo wyciągam rękę w jego stronę, ale po chwili ją cofam, bo kątem oka widzę, że drzwi Cepelianki się uchylają. Do knajpy wchodzi Piotrek, staje przy barze i przygląda się nam przez szybę. Przesuwam się w stronę palmy, chcę się za nią schować.

– Raz mnie ten Brankowski zagadnął w księgarni akademickiej – kontynuuje pan Kamil, niczego nie zauważywszy – i poprosił o klubowego, bo jak stwierdził, bakterie nie atakują organizmu palacza. Odpowiedziałem mu, że pewnych organizmów i tak nie atakują ze względu na pokrewieństwo.

Głośnym śmiechem wytrącam barmana z jego zniewolenia – odkłada GameBoya i przekrwionym wzrokiem rozgląda się po patio. Piotrek dopija piwo, odwraca się na pięcie i ze skwaszoną miną

wychodzi z Cepeliarki.

- Kosi was na egzaminach?
- Kto?
- No ten profesorek od słowników.
- W zeszły piątek próbował namówić kilka dziewczyn z naszej grupy na wycieczkę w Sokole Góry.
- A co on tam chciał z nimi robić?
- Nie chce pan wiedzieć, co on wyczynia na takich wycieczkach. Słyszałam, że nosi studentki na barana, uczy je sikać na stojąco i sprawdza wielkość miseczek biustonosza.
- A to bydlak. Ciebie też nagabuje?
- Ja nie jestem w jego typie. On woli pulchne, ciemnowłose. Ale zdarzało się, że i mnie rzucał obleśne teksty.
- Musicie poskarżyć się dziekanowi. W Katowicach też był taki doktorek, kazał robić studentkom analizę słowotwórczą słowa „chuj”. Jedna z wykładowczyń doniosła władzom uczelni i po sądzie dyscyplinarnym koleś poszedł na wcześniejszą emeryturę.

Mówi jeszcze chwilę, ale już go nie słucham, kontemplując zarys ust, odcień skóry i piwne oczy, które w świetle reflektorów na patio wyglądają jak kawałki bursztynu. W końcu i on milknie, tarmosi strzęp serwetki. Siedzimy wpatrzeni jedno w drugie i delektując się milczeniem, stykamy się kolanami pod stolikiem.

Kiedy po ósmej w Cepeliance robi się tłoczno, postanawiamy przenieść się w inne, bardziej kameralne miejsce. Idziemy Drugą Aleją. Wszystkie zakamarki, które od 1994 roku były dla mnie tak ważne, nagle stały się niewidoczne. Częstochowa przecięta linią tramwajową: telepiące się od pętli na Rakowie po osiedle Północ wagoniki powoli przyzwyczajają mnie do swego rytmu. Nie gapię się już z taką uwagą na wystawy, w okna klasycystycznych kamienic, nie zaglądam natrętnie w bramy.

Idę wsłuchana w rytm kroków, przyglądając się naszym cieniom, które bezwstydnie zlewają się na chodnikach.

W Café Antyk, kawiarni, która mieści się na parterze wieżowca za kinem Wolność, jest pusto i przytulnie. Rozsiadam się w fotelu i wdycham zapach mocnej herbaty. Na ścianach wiszą męskie akty oprawione w pozłacane ramy. Na okrągłych dębowych stolikach świeczniki pęcznią od wosku. Kojący i elegancki głos Franka Sinatry przenosi nas w czasy swingujących kochanków. Za barem pojawia się szpakowaty mężczyzna około pięćdziesiątki ubrany w kamizelkę od garnituru i śnieżnobiałą koszulę. Zamawiamy herbatę Earl Grey w dzbanku, grzanki, potem piwo. Będący na lekkim rauszu pan Kamil łapie mnie za rękę.

– Pamiętam ten dzień, w którym zobaczyłem cię pierwszy raz – szepcze, przechylając się w moją stronę. – Pamiętam jak dziś. Była niedziela. Początek lata. Siedziałem na stołku w izbie dziadka i spisywałem na kolanie pieśni, które dyktował mi niechętnie i chyba tylko dlatego, że w zamian przynosiłem mu słodycze i miniaturki wódek. Dziwnie się u ciebie czułem. Nie dość, że wszyscy w twojej rodzinie zdawali mi się jacyś sztywni, melancholijni i naznaczeni traumami, to do tego jeszcze wszędzie wisiały te wypchane ptaki. Pewnego dnia wyszedłem zapalić na podwórko, jak wy to mówicie, na plac, a kiedy wracałem przez sień do izby, ty wpadłaś na mnie, schodząc po drabinie ze strychu. Pomazana na policzku zieloną farbą, pachniałaś sianem i terpentyną, wniosłaś do sieni światło letniego popołudnia. Chyba się zawstydziałaś, bo wybiegłaś przed dom, postawiłaś wiadro na pniaku obok stodoły i kucnęłaś przy nim, rozstawiając nogi jak chłopak, żeby umyć twarz. Przez sukienkę prześwitywała twoja bielizna. Wiadro się przechyliło. Lodowata woda wylała się na posiniaczone kolana, nagie łydki. Chciałem podejść, przywitać się, zagadnąć, ale ty na mnie nawet nie spojrzałaś. Z obojętną miną poszłaś sobie na pole.

Przed jedenastą zbieramy się do wyjścia. Pan Kamil, wstając, potrąca mosięzną popielniczkę, która zsuwa się ze stolika na podłogę. Schylamy się po nią jednocześnie. Czuję jego oddech na czole, powiekach i skroniach. Nasze usta spotkają się w ciemności.

Ostatni dzień lata jest mglisty, pachnie skisłym sokiem z jeżyn, lepi się do mnie i wywołuje nudności. Siedzę w pokoju na poddaszu i próbując czytać zadane lektury, przez chwilę zastanawiam się, czy jako niewierząca córka katoliczki i ormowca mogłabym dołączyć do oblatek, zamieszkać na kilka lat w domu Serca Jezusowego, jak siostra Anna czy Łucja, w świecie starych kobiet, gdzie rządy sprawują matka Stanisława i siostra Zyta, gdzie jawa miesza się ze snem, czas terażniejszy z przeszłym, sacrum z profanum, rzeczy doczesne z nadprzyrodzonymi, asceza z erotyzmem, grzech ze świętością; nauczyć się dokładnie łaciny, *habita tecum*, „wniknąć w siebie”, pisać, czytać księgi, gdy matka przełożona załatwi mi obiecaną kartę wstępu do Bibliotek Starej i Jasnogórskiej.

Mam zawroty głowy, mimo to idę schodami na dół.

Po obiedzie wyglądam przez okno refektarza na dziedziniec, gdzie grupa niemieckich pielgrzymów wychodzi gęsiego z turystycznego skrzydła zgromadzenia. Stają w kręgu, liczą się, po czym składają do czarnych worków chorągiewki i przypinki, które kupili na straganach przy ulicy św. Barbary i bez pośpiechu gramolą się do autokaru, na którym lśni reklama firmy przewozowej Exodus Bremem. Kiedy wszyscy znikają w środku, matka Stanisława wybiega na dziedziniec i kilkakrotnie spluwa na chodnik. Jeden z chłopców znajdujących się w środku autokaru zauważa ją i widocznie rozpoznawszy w niej miłą starszą panią, która wczoraj częstowała go po obiedzie cukierkami w świetlicy, z noskiem przyklejonym do szyby naśladuje jej gesty, grożąc światu zaciśniętą pięścią.

– Wyraźnie jej się pogorszyło – mówi siostra Anna, która wchodzi do refektarza i staje obok mnie.

Kiedy autokar odjeżdża, matka przełożona na przemian łkając i przeklinając, siada na skrawku murawy. Wtedy przybiega siostra Zyta i próbuje ją podnieść, ale sama nie daje rady. Wkrótce dołączają do niej kolejne zakonnice, które ustawione w szeregu jak w kolejce do rzepki, którą zasadził dziadek w ogrodzie w wierszu Tuwima, starają się podnieść matkę przełożoną z ziemi.

– Czy siostra Zyta i matka Stanisława są rodzeństwem? – zagaduję

siostrę Annę.

– Zawsze zadawało mi się, że nie są ze sobą spokrewnione, tylko bardzo zżyte, ale gdy o to zapytałaś, zaczęłam się zastanawiać. Matka przełożona jest pulchna, a siostra Zyta koścista, ale jest między nimi jakieś podobieństwo. Obydwie poruszają się podobnie, obcinają się na pazia i ubierają na czarno. Choć Zyta jest bardziej energiczna, prawda? Pewnie nie uszło twojej uwadze, że obie rządzą tym domem? – Siostra Anna poluzowuje chwost i spuszcza zasłonę. – Nie przejmuj się tak bardzo ich poleceniami. Są pedantkami. Zauważyłaś, jak długo siostra Zyta w soboty pastuje buty przeoryszy?

– Tu nie ma żadnych myszy – wtrąca matka przełożona, która brudna, bez chodaków i ze zwitkami liści we włosach pojawia się zniecka w dwuskrzydłowych drzwiach refektarza i rozsiadłszy się przy kilkumetrowym stole, gdzie oblatki spożywają codziennie trzy posiłki, podbiera z łykowego koszyka kromki chleba i wpycha do kieszeni fartucha z taką miną, jakby się bała, że ktoś je jej odbierze. – Po powrocie z apelu do naszego baraku zauważyliśmy jedną pod pryczą – wzdycha. – Pamiętasz, Anula? – zwraca się do mnie. – Oswoiłaś ją, brałaś na siennik i karmiłaś okruszkami chleba, ale ta przekłeta aufzejerka, Margot, w końcu ją przyuważyła i zatłukła pałą.

Na te słowa blednę i jestem bliska omdlenia. Wbijam paznokcie w grysowy parapet. Siostra Anna, zauważywszy to, odciąga mnie od okna.

– Porywam naszą studentkę do ogrodu, matko – zwraca się do przełożonej, a ta zamiast coś odpowiedzieć, człapie boso w kątek refektarza, skąd zabiera z gazetnika kilka numerów „Niedzieli” i zawija w nie kromki.

Wychodzimy szybkim krokiem z refektarza. Siostra Anna podnosi dla niepoznaki leżący pod szklarnią worek z podsuszonymi chwastami i prowadzi mnie do kotłowni, gdzie uchyla drzwiczki pieca i nerwowym ruchem wrzuca do żaru gałązki lebiody i ostu. Goryczkowy zapach zielska roznosi się po pomieszczeniu, wypłaszając zza rur ćmy. Ogień trawi żółte i liliowe kwiatki.

– Zawsze je tu palę, żeby się nie rozsiewały.

Zdmuchuje z mojego policzka przyplątany pyłek popiołu i spogląda przenikliwym wzrokiem, jakby chciała mnie pobłogosławić. Z wrażenia robię krok w tył i następuję chodakiem na łapkę na myszy. Sprężyna chrzęści. Pułapka podskakuje. Druciana zapadka przyszpila róg mojej spódnicy. Siostra pochyła się i ostrożnie odpina łapkę.

– Wioletto, musisz się stąd jak najszybciej wyprowadzić, musisz – szepcze. – Tak będzie dla ciebie lepiej, rozumiesz? Uwierz mi. Nigdy nie wiadomo, co matce przełożonej znów strzeli do głowy.

– Znów? – pytam zaniepokojona.

– Czasem, ku oburzeniu siostry Zyty, sprowadza do zgromadzenia jakąś studentkę, biorąc ją za swoją zamordowaną w obozie córkę.

– Nie boję się jej.

– Widziałam dziś, jak się jej nie boisz. Specjalnie dla matki przełożonej próbujesz odgrywać rolę Anuli, Wioletto, chodzisz do czytelnicy i przeglądasz archiwalne czasopisma, żeby wczuć się w tamten świat, ale to się na tobie odbija psychicznie i nie wychodzi ci wcale na dobre. Prawda? Ogarnij się, dziewczyno i uciekaj. Nie możesz pić tych ziół, które ci matka codziennie parzy. Rozumiesz?

– Ale...

– Omal nie zemdliałaś dziś w refektarzu. Posłuchaj mnie uważnie. Jakieś dwa lata temu mieszkała w twoim pokoju Zuzanna z Poraja. Matka przełożona też ją poila tymi ziółkami.

– I co się z nią stało?

– Zawiozłyśmy ją w nocy.

– Gdzie?

– Pod szpital na Tysiącleciu.

– Boże!

– Masz gdzie się podziać?

– Nie za bardzo.

– Rodzina, przyjaciele?

– Jest ktoś, mężczyzna, starszy ode mnie, ale on nie mieszka na stałe w Częstochowie... – Chrząkam znacząco.

– Moja kuzynka pracuje w internacie liceum Słowackiego przy

alei Kościuszki. Ma na imię Małgorzata. Jak będziesz gotowa, spakuj się, idź tam i powołaj się na mnie. Myślę, że przyjmie cię na kilka tygodni bez problemów. A tu masz klucze do zgromadzenia. Wczoraj dorobiłam, tak na wszelki wypadek. Tym większym otworzysz żelazną furkę, a mniejszym drzwi wejściowe – mówi i zatrzaskuje drzwiczki pieca. Ciemność pulsuje w kotłowni i pod naszymi powiekami.

Od pierwszego października drożeją bilety na autobus. Nie kupuję miesięcznego i prawie codziennie pieszo wracam na stację do sióstr, choć już bez takiego entuzjazmu jak na początku. „Każdy dzień sprawia, że mnie ubywa”, zapisuję w pamiętniku i rzeczywiście chudnę w oczach, jestem coraz bledsza i mam zawroty głowy.

O jedenastej dzwoni na recepcję Piotrek i zaprasza do kina na ostatni seans. Spotykamy się o trzeciej na Kwadratach przed Megasamem i po zjedzeniu pierogów ruskich U Matuli, gdzie żywią się studenci, przyjezdni i pół emeryckiej Częstochowy, skubiąc słonecznik, włóczymy się po mieście.

Jesień odmierzana zegarem Energetyka przebija się miedzią i złotem na brudnym błękitcie między kamienicami i nadaje miastu miękkość. Na słupach przed ośrodkiem promocji kultury moknie plakat Goplany siedzącej na hondzie ze spektaklu *Balladyna* Adama Hanuszkiewicza, ale jak woli Piotrek, idziemy do Wolności na *Batmana*. Gdy wychodzimy z kina, Drugą Aleję przecina trzydziestoosobowa banda skinheadów. Wykrzykują hasła Romana Dmowskiego. Asystują im dwa policyjne radiowozy. Przystajemy na rogu, zagapieni w ten pochód z takimi minami, jakbyśmy nieoczekiwanie przenieśli się spod Jasnej Góry do Gotham City. Piotrek ujmuję moją dłoń i proponuje, że odprowadzi mnie pod samo zgromadzenie. Zgadzam się. Noc otula nas bakelitem, zwija Aleje w rulon. We mgle tlą się światełka banków, aptek i wystaw sklepowych. Zatrzymujemy się w drewnianej altanie Parku Staszica i popijamy wino.

- Ciągłe prowadzasz się z tym podstarzałym hipisem?
- Nie twój interes.
- On jest twoim menem teraz, co?
- Daj mi spokój.
- Długo się tak będziesz ze mną bawić w kotka i myszkę? A może z zemsty udajesz?
- Z zemsty? Nie wiem, o czym mówisz. Idź lepiej do domu.
- Idź do domu, idź do domu – przedrzeźnia mnie. – Mamuśka się znalazła. – Siada obok na ławce i głaszcze mnie po plecach. – No

przepraszam, przyznaję, że jestem dziś trochę rozdrażniony.

– Trochę?

– Przyjrzyj mi się dobrze, Wiola. – Ujmuje moją brodę. – Aż tak się zmieniłem w ciągu tych kilku lat?

– O co ci chodzi?

– Po przeprowadzce z Myszkowa do Częstochowy trochę pakowałem, zacząłem golić głowę, ale byłem przekonany, że od początku wiesz, kim jestem i tylko zgrywasz się albo udajesz.

Podaje mi wino. Łykam prosto z butelki.

– Z Myszkowa?

– Naprawdę mnie nie rozpoznałaś pierwszego dnia w dziekanacie? – pyta spokojniejszym tonem. – To ci przypomnę.

Obejmuje mnie w pasie i całuje tak, że zupełnie przestaję się kontrolować. Kładziemy się na pachnącej zbutwiałą korą podłódze altany. Rozsypane igliwie wbija się w plecy i uda. Czuję jego chłodny dotyk pod dżinsową spódnicą. Piotrek rozrywa moje rajstopy, wkłada rękę pod bieliznę i choć dotyka mnie boleśnie, nieumiejętnie i nazbyt niecierpliwie, chcę, chcę, chcę.

– Nie chcę! – krzyczę i próbując się podnieść, przejeżdżam wewnętrzną stroną lewej dłoni po chropowatej powierzchni deski. Dawno zagojona rana daje o sobie znać. Wyparty czas się odnajduje. Nie mija minuta i wszystko sobie przypominam.

Mam szesnaście lat. Saturatory chrypią na skwerach miasteczka. Jest słoneczny dzień. Siedzę rozgorączkowana na ryneczku przy wiadrach i odmierzam półlitrowym garnczkiem owoce; czuję w ustach migdałowo-kwaskowy posmak wiśni. Obok mnie krząta się babcia ubrana w pięć kwiecistych spódnic. Na dłoni, w którą podczas zrywania wiśni dzień wcześniej wbiła mi się brudna drzazga, pojawiła się sina pręga. Nagle Piotr, chłopak, z którym chodziłam od kilku tygodni i w którym byłam zakochana, wychodzi zza rogu w towarzystwie eleganckiej matki, lekarki. Macham do niego, ale on nie odpowiada na moje przywitanie, mierzy mnie obojętnym wzrokiem i mija jak obcą.

– To ty! Ty wtedy...

Piotrek chwyta rąbek mojej spódnicy, ale na czas się odsuwam

i co sił w nogach biegnę w stronę ulicy św. Barbary.

Przy bramie zgromadzenia zdejmuję potargane rajstopy, strzepuję igielki modrzewia ze spódnicy, doprowadzam włosy do porządku i używając dorobionego klucza, który dostałam od siostry Anny, wchodzę do zgromadzenia. Mijam drzemiącą odźwierną, zabieram moje chodaki, które ukrywam za gipsową figurą św. Barbary i idę na poddasze, gdzie zmęczona prawie natychmiast zasypiam.

O północy księżyc odkleja się od granatowej chmury, prześlizguje się przez świetlik do pokoju i kołysze się pod stropem jak napompowany helem balonik, z którego ktoś powoli wypuszcza gaz.

Kiedy listopadowy deszcz bębni w szybę świetlika, wyjmuję z walizki wszystkie nekrologi, które zawsze wożę ze sobą i rozkładam je na łóżku. Klepsydry, jednokartkowe dowody osobiste umarłych, które kiedyś w formie pocztówki zapraszały na egzekwie za duszę zmarłego. Zamiast numeru pesel podziurawione pinezkami kąty, symbole wanitatywne: czaszka, zepsute lub zwiędnięte owoce, zegar i instrumenty muzyczne, oplecione wstęgą lub liśćmi palmy przechylone krzyże, naznaczone literami ŚP, z kropkami lub bez, sploty bluszczu, choiny, jałowca, nadwerężone przez wiatr i deszcz imiesłowowy przysłówkowe uprzednie, zapisane czcionką Times New Roman zdania o wyprowadzeniu drogich zwłok.

Na klepsydrach drukowanych u księży misjonarzy, które niedawno skserowałam z encyklopedii Glogera, trupia głowa spoczywa na goleniach, trzyma w zębach dwa festony, oplatają ją ramki w formie węża z krzyżem złożonym z kosy i łopaty, z oczodołów czaszki wystają cztery kłosa pszenicy. Anioł o twarzy Larry'ego Flynta opiera się o sarkofag.

Mama nie znosi mojego funeralnego hobby, które pochłania mnie od czwartej klasy liceum, dokładnie od czasu, kiedy po weselu kuzynki przestałam być filumenistką i straciłam zapal do zbierania etykiet zapalczanych.

– Już ci całkiem odbiło, żeby klepsydry zbierać? Sprowadzisz tym nieszczęście na całą rodzinę – mówi, a ja jak zwykle jednym uchem wpuszczam, drugim wypuszczam jej słowa i z takim samym zacięciem jak ona pali je w piecu, wciąż przynoszę do domu nowe nekrologi i ukrywam w ruchomej, specjalnie wydrążonej nodze stołu, dokładnie tam, gdzie dziadek chował kiedyś przed prawdziwymi i wyimaginowanymi wrogami swoje pamiątki: notatki o żywotach pieców, które stawiał, dane dłużników, którzy nie zapłacili mu za kamień, guzik z orzełkiem w koronie, legitymację wojskową oraz kenkartę.

W drugiej połowie października, kiedy mama, stojąc przed ziewającym właścicielem zakładu pogrzebowego, waha się co do wyboru wzoru nekrologu swojej matki, a mojej babci, wyręczam ją i wskazuję klepsydre ozdobioną wiatrakami i muszlami. W ten

sposób, u schyłku dwudziestego wieku, spinam losy wszystkich kobiet z mojej rodziny. Wiatraki, bo rytm dni nadawała im sieczkarnia i młyn; muszle, bo rodziły się i umierały na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, gdzie pod powierzchnią szumiało morze zamknięte w dolomitach, marglach i wapieniach.

– Lubas Stefania, z domu Walo, zmarła dnia osiemnastego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego, przeżywszy siedemdziesiąt dziewięć lat – czytam na głos nekrolog babci, delektując się imiesłowem „prze-żywszy”.

Stefcia urodzona w chacie pod lasem na początku dwudziestego wieku, w świecie całkowicie zdominowanym przez mężczyzn, od najmłodszych lat była przysposabiana do posług domowych, rodzenia, pracy na roli, a w wieku szesnastu została wydana za mąż za nieznanego jej Władka z Brudzowic. Kobieta, która zasypia przy stolnicy, przy balii z mydlinami, mdleje podczas miesiączki na sąsięku przy sieczkarni, w chlewie na gnoju, po płukankach z octu i naparach z wrotyczu zakopuje za stodołą przy pokrzywach łożyska i szczątki poronionych dzieci, pierze ukradkiem w studni lub strumieniu płócienne skrawki służące jej jako podpaski w czasie okresu, ceruje gacie męża i synów, ceruje po nocach siebie i swoje życie. Czy ta dziewczyna zdąży wyrosnąć na świadomą i silną kobietę? Jeśli po sześciu porodach i poronieniach przeżyje kilkadziesiąt lat, być może zacznie mieć przebłyski, kim jest. Jest dla mnie symbolem kobiety z dwudziestego wieku, która musiała odgrywać wiele ról w swoim życiu, by przetrwać. Zanim stała się piękną czarownicą, zaczęła ją niszczyć niedoczynność tarczycy. Udało mi się ją poznać w okresie przemiany, obserwowałam jej nienaturalnie białe ciało, chodziłam za nią do lasu, na łąki przy kamionkach zbierać zioła, siadałam z nią wśród polaci żyta, gdzie ukrywała nielegalne grządki maku. Podczas podróży po polach opowiadała mi o duszach nienarodzonych dzieci, które mieszkają w pniach wierzb, śpiewała ballady, gdy cesałam, podcinałam i zbierałam z gumolitu pasma wypadających posiwiałych włosów, by wrzucić je do pieca.

Pewnej nocy „tak w połowie wojny” usłyszała na górcie rumor samochodów pancernych. Przestraszyła się nie na żarty. Władek

wciąż nie wracał ze stalagu i musiała teraz sama troszczyć się o dzieci, dbać o gospodarkę i myśleć o wszystkim. Kazała dzieciom schować się w kopcu i siedzieć tam cicho. Wyjrzała przez okno. Kuchnię zalało oślepiające światło. Zmrużyła oczy. Usłyszała szwabskie rozmowy w sieni, ofensywę wojskowych butów na drewnianej podłodze. Z całych sił starała się nie zemdleć.

Zmęczony oficer przekroczył próg izby, rozsiadł się na krześle, pokiwał wyglansowanym butem i wskazał mauzerem świeży chleb przykryty wykrochmaloną ściereczką. W mig pojęła, o co mu chodzi. Podbiegła do stołu, przyłożyła bochenek do piersi tak, jak matka ją nauczyła, ukroiła grube pajdy i posmarowała je masłem. Nigdy w życiu jej tak ręce nie drżały. Niemiec zsunął okulary, przetarł je ręką koszuli i długo się jej przyglądał. Powoli jadł chleb i dalej patrzył. Zegar tykał. Cienie ślizgały się po podłodze. Pies miotał się na łańcuchu przy budzie. Nagle oficer wstał, zaczął kręcić się po izbie, zajrzał do glinianego dzbanka, gdzie kisił się żur. Podszedł do niej i wyszeptał coś po niemiecku. Potem zawołał podwładnych, wydał rozkazy i skinąwszy głową na pożegnanie, szybko wyszedł z kuchni.

Ku jej zdziwieniu Niemcy zabrali tylko worek mąki, trzy kaczki z kurnika i odjechali. Po kilkunastu minutach odszukała dzieci. Chciała sprawdzić, czy wszystko jest u nich w porządku. Kazała im, tak na wszelki wypadek, nocować w stodole. Sama położyła się na podłodze przy skrzynce z kurczętami i łkała całą noc. Dopiero nad ranem strach puścił i odetchnęła z ulgą.

Zapamiętała krótkie zdanie niemieckiego oficera, jakby przeczuwała, że obce, wypowiedziane naprędce słowa mają związek z ocaleniem jej życia. Zaraz po wyzwoleniu pojechała na rowerze do gminnej biblioteki, poprosiła o słownik. Z pomocą bibliotekarki, która znała trochę niemiecki, przetłumaczyła słowa oficera, które pochodziły z *Fausta* Goethego: „To, co wiecznie kobiece, pociąga nas wzwyż”.

– Podróże? A na co ci to? Tylko byś się poniewierała po świecie jak twój ojciec – mawiała, gdy prosiłam ją o pożyczkę na wyjazd. Kobieta, która urodziła pięcioro dzieci w domu na sienniku, nigdy

nie przekroczyła granic województwa katowickiego, siedemdziesiąt lat chadzała tymi samymi ścieżkami, a znała się na świecie lepiej niż niejeden z samozwańcych Herodotów. Stawała na podwórku, przykładła do czoła łódeczkę dłoni i wpatrując się w horyzont, od razu wiedziała, kiedy można spodziewać się powodzi, burzy czy plagi stonki i że w nocy jakiś obcy łąził na górze w krzakach tarniny. Wyjazdy napawały ją lękiem, bo ktokolwiek z najbliższych opuszczał wieś, tracił życie, jak jej córka Anna, albo wracał półżywy, pokiereszowany, jak jej mąż ze stalagu. A jednak wciąż kazała sobie opowiadać o Błędnych Skałach, kaplicy czaszek w Cermnej, ruchomej szopce z Wambierzyc, smaku winogron z Żylińskiego Kraju.

Często wychodziłyśmy razem na pole. Ona zbierała zioła, a ja kładłam się na porośniętej cykoriąmi podróżnik, goździkami sinymi, ostnicami Jana, astrami gawędkami, wisienkami stepowymi, rojnikami górskim i dziewięciszami bezłodygowymi ziemi, zapatrzona w słońce. Za horyzontem wzbierał ocean.

Niepostrzeżenie nadchodzi Nowy Rok, 1996. Melodyjny głos spikera informuje o rannych Brytyjczykach w Sarajewie, opolskich pięcioraczkach, zbliżającym się finale Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Nowy prezydent Aleksander Kwaśniewski w orędziu noworocznym za najważniejsze wyzwanie nadchodzącego roku uznaje przyjęcie nowej konstytucji. Z powodu epidemii grypy ministerstwo zdrowia zwraca się do kuratorów i wojewodów o przedłużenie ferii zimowych.

W związku z podwyżką prądu i gazu matka przełożona nakazuje gasić światło w dormitarzach o dziewiątej w nocy. Do tej godziny, jak w każdy piątkowy wieczór, we froterkach i czarnej kokardzie przypiętej do warkocza ślizgam się po wypastowanym korytarzu niczym świeżo upieczona mistrzyni jazdy figurowej na lodzie, Chen Lu. Nagle dwuskrzydłowe drzwi korytarza uchylają się i pojawia się w nich matka przełożona. Rozpędzona, nie mogę zahamować i toczę się prosto na nią. Upadamy razem na wypastowaną podłogę. Po chwili matka przełożona wstaje, otrzepuje plisowaną spódnicę i zamiast jak zwykle mnie ofuknąć, że nie umiem się zachować, pajacuję i wyczyniam wygibasy przy figurach świętych, zaprasza mnie na herbatę do swojego dormitarza.

Wycieram mokre ręce w fartuch powieszony na poręczy schodów i idę za matką przełożoną do południowego skrzydła na pierwsze piętro. Stanisława gotuje wodę w czajniku elektrycznym i parzy herbatę. Siedzimy w milczeniu dłuższą chwilę, podczas której ona przygląda się mi tak badawczo, jakby chciała mnie sportretować. Na sęku dębowej półki porusza się brudnica mniszka i wędruje po ścianie w stronę zapalanej lampki nocnej.

– Widziałaś, ile Niemców się tu kręci? – szepcze zachrypniętym głosem Stanisława.

Dopijam herbatę, która smakuje gorzko jak wywar z piołunu i przytakuję, myśląc, że matka przełożona mówi o pielgrzymach z Niemiec.

Miętołę wełnianą narzutę w jelonki, którą jest okryty fotel i ziewając, przyglądam się książkom ułożonym na dębowym regale.

– Pamiętasz, jak we wrześniu wyciągnęli go z mieszkania?

– Kogo?
– Twojego ojca.
– Chyba tak – wyduszam nauczona, że w nawrotach choroby matki przełożonej najlepiej milczeć lub przytakiwać.
– Nie mówiłam ci, ale wtedy odesłałam cię do ciotki Zyty i poszłam do stołowego z tym oficerem Wehrmachtu, który był Ślązakiem i dobrze mówił po polsku. Pamiętasz?
– Ja...
– Pozwoliłam na to, a potem błagałam go, sama nie wiem po co. Niemcy pędzili ich już na punkt zborny na Mirowską. Tam wszystkich rewidowali, a potem znów gnali na Zawodzie do więzienia, które było tak przepełnione, że nie mogło już przyjąć ani jednego człowieka. Pobiegłam Warszawską między płonącymi budynkami na plac Katedralny! Widziałam ich, twojego ojca i wuja. Stali ze wszystkimi. Po dziesięciu minutach przyszedł zawieszony przez Niemców ksiądz prałat Wróblewski, otworzył katedrę. Schowałam się w bramie. Serce waliło mi jak młot. Widziałam zawzięte twarze Niemców i czułam, że otworzą ogień. W końcu karabin maszynowy zaterkotał. Boże, oni nie zdążyli wejść do środka...

Odwracam się w stronę okna – wiatr szarpie gałęzie sosny i strąca pożółkłe igły na parapet. Znów ten wiatr, myślę, przypominając sobie noc, kiedy w sylwestra pierwszy raz spotkałam matkę Stanisławę na dworcu. Trzęsącymi się rękami odkładam filizankę na stolik i zbieram się do wyjścia. Matka przełożona też wstaje i zagraża mi drogę, potrącając lampkę nocną, która spada na podłogę i rzuca smugi światła na bladą ścianę, przemieniając dormitarz w kajutę rozhuśtanego statku. Ku mojemu zdziwieniu klęka przy łóżku i wyciąga spod niego zakurzony kufer.

– Pakuj się, Anula! – rozkazuje. – Musisz jak najszybciej stąd uciekać! Lada chwila tu będą! – Otwiera szuflady i wyrzuca z nich na podłogę halki, chustki, zmechacony serdak, poczkowane jedwabne pończochy, krem Ultrasol, mydło Elida, drewnianą szczotkę oblażłą siwymi włosami. A ja zamiast ją powstrzymać, sprzeciwić się czy choćby uciec z pokoju, pomagam pakować rzeczy

do kufra. Skoro tyle miesięcy pozwoliłam na to, by utożsamiała mnie ze swoją córką wysłaną do komory gazowej przez Margot Kunz w Ravensbrück, teraz jest już za późno. Nasze losy splotły się od dnia spotkania na częstochowskim dworcu i w jakimś sensie stałam się Anulą reaguję na jej imię, czeszę się podobnie, z przedziałkiem na środku głowy, noszę jej złoty pierścionek z kameą, zakładam jej spódnice i bluzki i każdego dnia coraz bardziej przesiąkam zapachem jej ubrań. Tak, chcę być Anulą, szyć na miarę sukienki w zakładzie krawieckim Foltyńskiego, zakładać eleganckie lakierki, jedwabne pończochy, wieczorami popijać herbatę z porcelanowej filiżanki, czytać „Gońca Częstochowskiego” i „Tygodnik Ilustrowany”, uczęszczać na zajęcia do Gimnazjum Żeńskiego imienia Juliusza Słowackiego, przebierać się za królową Jadwigę albo za elfa, by na ostatki z mamą, tatą, wujkiem i ciotką Zytą brać udział w defiladzie korowodu karnawałowego w Alejach, w kinie Luna oglądać *Paryżankę* z Danielle Darrieux, w tajemnicy przed matką chodzić do chiromantki, która mieszka w przyczepie naprzeciwko straży pożarnej i słuchać, jak z rozszczępionej linii życia, pętelek na linii serca i krzyżyków na linii losu wróży namiętną miłość do starszego mężczyzny, opowiada o długim życiu i zamorskich podróżach; tak jak Anula jeździć na wycieczki do huty szkła, do Krynicy, Rabki, na skałki do pobliskiego Olsztyna, gdzie u podnóża ruin zamku, nieopodal drogi, znajduje się willa wczasowa Zofia, należąca do dyrekcji mojej szkoły, odwiedzać zakład Abrama na Nadrzecznej i przymierzać tam najmodniejsze kapelusze, chodzić na ciastko do Grand Café, być rozpieszczaną pannicą z dobrego domu i w drodze na Rynek Wieluński przytulać się w trolejbusie do pachnącej lawendą matki.

– Pojedziesz teraz do Olsztyna, do ciotki Bronki.

Matka przełożona rozgląda się po dormitarzu, jakby szukała w nim przejścia do innego czasu, w którym na murach wiszą ogłoszenia Der Stadthauptmanna. Częstochowę przecina Adolf Hitler Allee, a Biuro Sprzedaży Kart Żywnościowych znajduje się przy ulicy Dąbrowskiego 11. Urzędowi Ekspedytorzy Kolejowi Adolf & Eduard Hollerowie zapewniają miłą, łatwą odprawę celną, składowanie,

ubezpieczenia, regularne ładunki i zbiorowe wagony.

– Pamiętasz jej adres?

– Nie, chyba nie – odpowiadam nieswoim głosem.

– To nic. Zapiszę ci na kartce... albo nie, to niedorzeczny pomysł w tych czasach. Musisz się go nauczyć na pamięć. Powtarzaj za mną...

– Stasia? Stasiu, co ty tam, do licha, z nią robisz? – dobiega zza drzwi zachrypnięty głos Zyty.

– Wynoś się! – krzyczy matka przełożona i podbiega do drzwi, aby je zamknąć na haczyk. Jednak siostrze Zycie udaje się wtargnąć do pokoju.

– Zawsze się wtrącasz we wszystko. Miałaś się u mnie nie pokazywać z tym twoim mężem aptekarzyną. To on zadenuncjował Anulę. Prawda?

– Jak możesz tak mówić? Po tym, co dla was zrobił? Nie pamiętasz już, jak zachorowałyśmy na tyfus w czterdziestym trzecim? Kto się wtedy zajmował Anulą? Kto ci wtedy zakupki przynosił? Co?

– Idź precz!

– Przecież jestem jej chrzestną. Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, to Sapota doniósł na gestapo, a nie mój Stefan – mówi sztucznie, jakby recytowała dawno wyuczoną kwestię.

– Sapota? Wiesiek Sapota? Przecież on chodził ze mną do klasy. Mówiłaś, że rozstrzelali go przy torowisku – siada na łóżku i dalej coś opowiada, ale jej słowa zagłusza sygnał przejeżdżającej karetki.

– Już tu jadą. Za późno!

– Trzeba natychmiast odwieźć Anulę na wieś do ciotki.

– Ale czym, na Boga? Ojciec sprzedał automobil jeszcze przed wojną.

– Najęłam furmana. Czeka przed domem. Ty tu zostań, a ja wyprowadzę Anulę.

Czas w pokoju kondensuje się i ocieka czymś lepkiem, jak świece w pobliskiej kaplicy. Siostra Zyta chwyta kościstymi palcami mój przegub i ciągnie mnie w stronę drzwi. Wyrywam się jej, podchodzę do matki przełożonej i całuję ją w rękę.

– Uważaj na siebie, córuniu. – Pochlipuje, a potem wzdryga się, jakby przebudziła się nagle z głębokiego snu i wpadła w inny przedział czasu; przytuliwszy poduszkę do piersi, kołysze ją i nuci: – „O gwiazdeczko, coś błyszczała, gdy ja ujrzał świat. Czemuż to tak, gwiazdko mała, twój promyczek zbladł?”.

Krocę posłusznie za siostrą Zytą najpierw schodami w dół, do przedsionka, gdzie w kącie czeka na mnie perfekcyjnie spakowana walizka. Siostra dalej pociąga za niewidzialne sznurki, prowadząc mnie jak marionetkę na dziedziniec, chodnikiem wzdłuż muru prosto do żelaznej bramy.

– Klucze oddaj!

Sięgam do kieszeni spódnicy i podaję jej plik z breloczkiem matrioszki. – Więcej się tu nie pokazuj, słyszysz? – Wciska mi w dłoń zwitek banknotów. – Tak będzie lepiej – dodaje, nie patrząc w oczy. – Rozumiesz? Bóg z tobą, dziecko – mówi jakby łagodniej, ze łzami w oczach, i odwróciwszy się na pięcie, odchodzi szybkim krokiem.

Chcę za nią pobiec, krzyknąć, oddać pieniądze i przede wszystkim pożegnać się z siostrą Anną, której twarz miga w oknie dormitarza na piętrze, ale żelazna furta tak szybko się za mną zatrzaskuje.

3. Witaj, śpiąca królewno

Chodaki stukają o trotuar. Rydzyk wygląda z kieszeni mojej budrysówki. Przed dworcem, któremu nagle znów wyrosła wieżyczka w kształcie lokomotywy, wzbiera tłum, słysząc stukanie końskich kopyt, melodię katarynek, nawoływania wozaków i gazeciarzy:

– Losy Loterii Klasowej możesz nabyć w Kolekturze Antoniego Egera, Pierwsza Aleja czternaście! – wykrzykuje chłopiec ubrany w pocerowany dwurzędowy płaszcz. – Stała ilość większych wygranych!

– Niesłychana napaść czeska na terytorium Polski! Walki za Olzą trwają. Czy Anglia odstąpi Niemcom kolonie? Czytaj „Goniec Częstochowski”. Tylko dziesięć groszy!

Podnoszę z ławki gazetę z drugiego października 1938 roku. Dzień Aniołów Stróżów. Niedziela. Wschód słońca o 5 : 44. Zachód o 17 : 22.

Czytam, że Wały Dwernickiego od mostu kolejowego zostaną wysypane szlaką. Na ulicy stanie kilka lamp elektrycznych, by panujące ciemności nie sprzyjały „praktykom różnych mętów”. Chwilę później mijam dziwny pochód urzędników samorządowych, którzy kroczą sztywno jak manekiny, ledwo powłócząc nogami i przystają tylko po to, by pucybuci mogli wyglansować im gałgankami pantofle. Przygrywa orkiestra tramwajarzy. Powiewają biało-czerwone proporce z wyrzeźbionymi syrenami u góry drzewca. Idą prosto do kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze. Podążam za nimi jak zahipnotyzowana i słucham, jak wiwatują na cześć prezydenta Ignacego Mościckiego i Marszałka Śmigłego Rydza.

Przy murze siedzą dziady proszalne z tabliczkami zawieszonymi na szyjach. Obok furmanki okrytej kapą kuca handlarka w czarnej chuście na głowie i próbuje mi wcisnąć w dłoń szarozółtą, cuchnącą łojem ćwiartkę mydła z wybitą na wierzchu niemiecką pieczęcią Schichta. Czując słodkawy odór rozkładających się ciał, wzdrygam się z obrzydzenia i uciekam w bramę.

Mija godzina. Na murach pojawiają się ogłoszenia z czwartego listopada trzydziestego dziewiątego roku:

„Z utworzeniem Guberni Generalnej obecnie, po przeprowadzeniu

wojskowego zabezpieczenia obszarów polskich w zakresie niemieckiego obszaru zainteresowań, zakończony został epizod historyczny, za który odpowiedzialność ponosić muszą zarówno zaślepiona klika rządowa byłego kraju polskiego, jak i też obłudni podżegacze wojenni w Anglii. Oddziały armii niemieckiej przywróciły porządek na obszarach polskich. Ponowne zagrożenie pokoju europejskiego nieuzasadnionymi żądaniem tworu państwowego, który się więcej nie odnowi...”.

Godzinę później, stojąc przy wystawie sklepu z dewocjonaliami, gapię się na krucyfiksy, lampy i kobierce. Na przełomie lutego i stycznia czterdziestego trzeciego roku nagle wszystko jest do sprzedania: tanio, okazyjnie, zaraz, jesionki, futra, fortepiany, łapki karakułowe, kołnierze z wydry, szuby z lisa srebrnego, żrebce, dwa żyrandole niklowane, lampki nocne oraz imbryk elektryczny, garnczek i kuchenka, pianino zagraniczne nowoczesne, maszyna Singera, bębnekowa maszyna do cukierków, buty z cholewami, palto zimowe z mufką dla młodej panienki, aparat fotograficzny, kapelusz męski brązowy, manekin damski, dziecinne futerko, beczka na kapustę, dziecko niemowlę za darmo, na własność, płęć męska.

Przechodzę przez Park Staszica; mijam kłaniające się, drewniane rzędy krzeseł przed klasztorem; zatrzymuję się na chwilę w bramie Lubomirskich i wchodzę prosto do kruzganka, gdzie trwa remont. Pod niskim pułapem wisi żółta tabliczka: „Uwaga! U góry pracują”.

Nie widzisz, jak łązisz, cipo? – W drzwiach McDonalda przy alei Wolności pojawia się przyszczaty blondyn ubrany w pasiasty uniform i próbuje podnieść folder, który potrąciłam, biegnąc chodnikiem. – Wiolka? Wiolka Rogala? Kopę lat. Ledwom cię poznał, tak żeś schudła, że sama skóra i kości. Ostatni raz widzieliśmy się chyba tej nocy, kiedyś mnie wystawiła do wiatru na przystanku przy szosie, ale nie mam żalu, nie mam żalu...

Zerka zdziwiony na moje chodaki, które zapomniałam zdjąć po tym, jak siostra Zyta wyrzuciła mnie z zakonu, a gdy z kieszeni płaszcza wygląda Rydzyk, wzdryga się i robi krok w tył. Chcę mu wszystko wyjaśnić, ale chodnik przy alei Wolności znów się chwieje, a ja wywijam kozła prosto na folder z podkolorowanym hamburgerem.

– Starszy Laboś? – jąkam. – Czytałeś to ogłoszenie Guberni Generalnej? Ciebie też tu przenieśli za karę?

– Za jaką karę, dziewczyno? Niby gdzie mnie przenieśli? Co ty pleciesz? Sam załatwiłem sobie tu robotę. – Przygląda się mi przez chwilę. – No nie poznaję koleżanki... Coś ty? Naćpana z walizką i szczurem łązisz po mieście? Skądżeś go wytrzasnęła? Włamałaś się do zoologicznego?

– Ja naćpana?

– Nie da się ukryć. Co tu właściwie robisz?

– Filologię studiuję.

– Po północy?

– Jezu, jest już dwunasta?

– Ale żeś sobie wybrała. Nigdy bym nie pomyślał, że będziesz panią od polskiego.

– Tak jakoś wyszło.

– A roboty ty przypadkiem nie szukasz? Potrzebna nam hostessa na lobby.

– Kto?

– No, hostessa, kelnerka na salę – mówi zniecierpliwionym tonem. – Taka, co baloniki rozdaje, podłogę mopuje, na urodziny klientów tort odbiera z cukierni, stoliki i tace czasem przetrze. Ot i cała robota.

- A mogłabym przychodzić tylko wieczorami?
- No pewnie.
- Byłoby super. Odkąd umarła babcia, trudno mi się samej utrzymać w mieście.
- Chodź, pogadamy z szefową. To równa babka jest. Na bank cię zatrudni.

Nagle ciało zaczyna mnie swędzieć, jakby ktoś wrzucił mi rzepy za bluzkę. Opuszki palców drętwieją. Ostrożnie odkładam Rydzyka na lśniący stolik. Lampy w alei Wolności odklejają się od latarni, spadają na asfalt i jak bile toczą się po torach tramwajowych.

– Lajboś, kurde bele, gdzie ty lecisz? Pochłoną cię jasne i ciemne mgławice. Nie leć tam, bracie – mamroczę, przysłaniając oczy dłonią, bo rażą mnie światła przejeżdżających samochodów. – Tak naprawdę mam na imię Anula, wiesz? W komorze gazowej biegłam w stronę światła – recytuję własny wiersz. – Przy składzie drewna unosi się zapach żywicy, bawię się z mamą w chowanego...

– Aleś się niemożebnie upierdoliła – szepcze wstrząśnięty Lajboś i na wszelki wypadek przymyka drzwi restauracji. – Imprezowałaś przy sobocie? Wsypali ci co do drina, ina, ina, ina.

Z oddali docierają do mnie strzępy jego słów i w tym momencie urywa mi się film.

Jesteś? – słyszę głos siostry Anny, która staje przy mnie w kotłowni i podaje mi suche badyle do spalania.

– Jestem! – odpowiadam tak dobitnie, jakbym sama przed sobą chciała potwierdzić własną obecność. – Chyba się czymś zatrulałam, siostró, bo jest mi słabo i nie mogę ustać na nogach.

Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, podchodzę do okienka i staję w łunie popołudniowego słońca, pozwalając, by światło swawoliło na mojej twarzy.

– Śpi? – dociera do mnie czyjś głos. Próbuję otworzyć oczy, ale nie mogę. Powieki są zbyt ciężkie i posklejane.

– Ano śpi. To córka tej Zosi z Hektarów. Pamiętacie piękną Zosię, w której pół wsi się kochało?

– Ale najbardziej to ją kochał Gienek Kombajnista. Boroczek.

– A ta? Co u ciebie robi?

– Ino śpi i bredzi, że jest jakąś Anulą. Myślałam, że już nigdy się nie obudzi. Jacuś przywiózł ją trzy dni temu taryfą. Była w strasznym stanie. Brudna, roztrzęsiona taka.

– A co jej się stało?

– Ponoć ją jakieś chachary znarkotyzowały, ale dokładnie nie mam pojęcia, jak do tego doszło. Gdy Jacuś ją zauważył, błąkała się sama po mieście.

– Mój Boże, jakie czasy nastały. Nawet z domu wyjść nie można, a kiedyś same chodziłyśmy na pochody karnawałowe.

– Widziałaś kiedyś, Józefko, żeby ktoś tak trzy dni ciurkiem spał?

– Mój stary, jak wrócił z wojny, też tak spał, ale się już nie obudził.

– No nie kracz. Ona młoda jest. Wyjdzie z tego.

– Może wezwać lekarza?

– E, chyba nie trza. Zaróżowiała się na policzkach. Pić jej tylko mleka dajmy.

– O tak. Mleko odtruwa.

– Zdaje się, że zamrugowała?

Otwieram oczy. Nade mną stoją trzy Mojry. Pierwsza w moim śnie sprzedawała mydło Schichta. Druga to Jadzia Nowak, ciocia starszego Lajbosia, no a trzecia, najmłodsza, wygląda jak bufetowa

z dworca.

Stojąc na platformie tramwaju, którym jeżdżę codziennie z mieszkania cioci Jadzi na uczelnię, przysłuchuję się rozmowom podróżnych, które o świcie szeleszczą jak skórka obieranego jabłka. Zaspani pasażerowie poruszają ustami, ale tylko ich dłonie ze sobą rozmawiają; w dziwnym ciągu gestów zaciskają powietrze lub obejmują metal, kiwając się na barierkach jak bibułowe róże na drucikach. Wiosenny poranek jest nabrzmiały światłem. Rozglądam się po tramwaju, gdzie wszystko nagle zatrzymuje się we własnym ruchu, zapachu, w swej formie – jakbym wcisnęła pauzę. Zagapiona w odbicia twarzy, zniekształcane w brudnych, oklejonych reklamami szybach, myślę o tym, że kiedyś ludzie nauczą się zakrzywiać czasoprzestrzeń i będą podróżować od jednej pozaziemskiej stacji do drugiej, od jednych do drugich lustrzanych wrót.

Kiedy po wykładach wracam na osiedle Północ, w drzwiach tramwaju niepodziewanie pojawia się profesor Brankowski i siada na wolnym siedzeniu przede mną.

– No proszę, kogo my tu mamy. Witaj, śpiąca królewno. – Uchyła kaszkiet, po czym milknie i jak posążek Janusa z wyspy Boa z odrazą gapi się na podróżnych. Ubrany w tę co zwykle tweedową marynarkę przeżartą przez mole, białe rękawiczki i plastikowe okulary z ryneczku przypomina człowieka muchę, który wybiera się na prywatkę przebierańców.

– Przymierz – wciska mi gogle na nos. – Przez takie okulary patrzysz na świat jak osa, bo one cząstkują obraz świata i chronią cię przed niebezpiecznym promieniowaniem z kosmosu.

Rozbawiona zerkam na jego wypchane siatki. Profesor pokazuje mi ich zawartość: pomidory z oczkami pleśni, ziemniaki i podeschniętą włoszczyznę, które, jak powiedział, zebrał na śmietniku pod dyskontem spożywczym na Tysiącleciu.

Wysiadamy na przystanku przy hali Polonia. Spontanicznie biorę jego pakunki i pomagam je taszczyć do mieszkania. Zatrzymujemy się na klatce schodowej, gdzie profesor zagląda przez dziurki do skrzynki na listy.

– Zapraszam panią na zupę – mówi, nie odrywając oczu od

podziurkowanej skrzynki, z której wystają ulotki reklamowe.

Mając w pamięci jego wybryki na uczelni, waham się, boję się iść z nim do mieszkania, ale ku własnemu zaskoczeniu przyjmuję zaproszenie. Z jakiegoś powodu fascynuje mnie jego psychopatyczna natura.

Kilka minut później siedzimy w kuchni i gawędzimy jak dobrzy znajomi. Profesor podgrzewa na kuchence gazowej wczorajszą pomidorową, przygotowaną ze zdobycznych warzyw. Po mieszkaniu roznosi się zapach duszonych pomidorów. Zupa okazuje się pyszna. Profesor jednak jej nie je, odpala papieros od papierosa i snuje opowieści o ludzkości, która po potopie rozdzieliła się na Semitów i Antysemitów, o Troi, która jego zdaniem leżała nad Adriatykiem; języku polskim, który w istocie jest ukraińskim; o Hunach, którzy byli Słowianami, o tym, że chrześcijaństwo w Polsce istniało stulecie wcześniej, Siemowit był prawnukiem Ruryka, a Polanie spokrewnili się z Bawarami.

– W tobie jest coś takiego – mówi nagle, patrząc mi w oczy – czego nie potrafię rozgryźć. Rano planowałem iść spacerem do domu, ale kiedy tramwaj się zatrzymał na przystanku, mignęła mi w oknie twoja twarz. O czym wtedy myślałaś? Co?

– Nie pamiętam, panie profesorze.

– Nie patrzysz, a widzisz, prawda?

Pochyliam głowę, a profesor, domyśliwszy się, że nic ze mnie nie wydusi, macha ręką i wychodzi do przedpokoju. Słyszę, jak tarłosi taboret, wspina się na niego z większą trudnością niż wtedy, gdy pokazywał nam w auli kwiat lotosu, otwiera pawlacz i wyrzuca coś na podłogę. Wraca z wielką tubą, z której wyjmuję starą mapę Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Rozkładamy ją na ławie w dużym pokoju. Profesor siada obok mnie na wersalce i długo pokazuje mi swoje ulubione ruczaje, zagajniki i jaskinie, a kiedy zapada wieczór, zaczyna się chwiać. W końcu kładzie posiwiałą głowę gdzieś przy Skałach Cygańskich na szlaku Orlich Gniazd i zasypia. Oddycha ciężko, jakby w jego płucach zalegał wapienny osad. Przyglądam się mu przez chwilę. Napięcie schodzi z jego pogrążonej we śnie twarzy. Powieki pokryte siatką bordowych żyłek drgają.

Ten chłopiec się w nim budzi, dotyka muru, zimnego czoła matki, która postrzelona nie żyje już od kilku godzin. Nad ranem razem z innymi wychodzi ze schronu i biegnie, jak ja kiedyś w sylwestra, ścieżką na pola. Jest mroźno. Dziurawe trzewiki chlupoczą. Mokra onuce, którymi kilka dni przed ucieczką z bombardowanego miasta matka owinęła mu nogi, zaczynają gnić. Obca i szeleszcząca szronem dal wydaje się ciemna i nieskończona. W końcu przebijają przez nią jakieś światła. Ukazuje się kamienny dom przypominający jego rodzinny dworek. Podchodzi do bramy, na której widnieje wyżłobiony w drewnie napis *Ordo et pax*. Puka mosiężną kołatką z wygrawerowanym herbem krzyża.

Profesor porusza się niespokojnie, blednie i w końcu zsuwa się na wersalkę. Pochylam się nad nim i patrzę z obrzydzeniem, pamiętając wszystkie jego podłe postęпки, ataki na studentki, nadużywanie rektorskiej władzy. Przez chwilę mam ochotę go ukarać, wyrzucić do zsypu kolekcję cennych woluminów, zalać pomidorową ulubione mapy, jednak nie potrafię tego zrobić. Upewniwszy się, że oddycha, okrywam go kocem, gaszę światło i wychodzę z mieszkania.

Ósmego kwietnia, w Poniedziałek Wielkanocny, budzę się w mieszkaniu cioci Jadzi zdziwiona, że z sufitu zniknął świetlik i po przebudzeniu nie mogę zerknąć na jaśniejące w nim niebo. Wciąż trudno mi uwierzyć, że nie muszę zrywać się przed wschodem słońca, ścielić perfekcyjnie łóżka i szukać przy drzwiach karty z poleceniami matki Stanisławy. Wyspana siadam na pierzynie, przeciągam się i z przyzwyczajenia rozglądam się za chodakami.

Po śniadaniu ciocia Jadzia wychodzi do kościoła i przez roztargnienie zostawia uchylone drzwi. Z korytarza bloku dociera do mnie woń tanich perfum, którymi sąsiedzi z okazji śmigusa-dyngusa spryskują się nawzajem. W szyby uderzają lśniące, bladozielone gałązki wierzby. Nad osiedlem Północ ciąży jak zakalec ciemna chmura. Przy śmietniku, za murkiem czatują na przechodniów chłopaki z psikawkami, wiadrami i plastikowymi butelkami. Korzystając z okazji, że cioci Jadzi nie ma w domu, otwieram walizkę i wyjmuję zawinięty w kartki „Uranii” plik banknotów, które w lutym wcisnęła mi na pożegnanie siostra Zyta. Szybko przeliczam pieniądze. Ponad tysiąc złotych. Wystarczy na dwa czynsze. W pośpiechu zbieram moje książki, kosmetyki i notatki, które w trakcie gonitwy między pracą w McDonalddie a wykładami porozrzucałam po całym pokoju.

Godzinę później, kiedy ciocia wraca z kościoła i przebiera się w kuchni w podomkę, podchodzę do niej i wręczam jej bombonierkę oraz paczkę kawy.

– Już? Trzeba mnie było uprzedzić.
– Nie chciałam cioci denerwować przed świętami.
– Mogłaś zostać u mnie chociaż do wakacji.
– Nie mogę. – Całuję ją w policzek. – Dziękuję za wszystko.
– Nie ma za co, dziecko. No ale gdzie ty się podziejesz? Chyba nie wrócisz do tych sióstr, które cię podtruwały ziólkami? – pyta wzruszona.

– Nie, nie, wynajęłam kawalerkę na Lelewela. Stamtąd będę miała bliżej do pracy i w ogóle – mówię niepewnym tonem i przetykam ślinę, bo mam świadomość, że prawdziwy powód wyprowadzki jest inny. Od dawna marzę o własnym kącie, gdzie

mogłabym spotykać się z panem Kamilem.

– Może zjesz coś przed wyjściem?

– Dziękuję. Nie jestem głodna.

– A wszystko spakowałaś?

– Chyba tak.

– Czekał. Zapomniałabym. Już dawno chciałam ci coś dać – sięga do kieszeni podomki i wręcza mi wymięte zdjęcie. – Odwiedziły mnie kiedyś, twoja mama z Anią – mówi i odprowadza mnie do drzwi.

Ciągnę walizkę w stronę pętli tramwajowej. Na przystanku wyjmuję zdjęcie z torebki i przyglądam się mu uważnie. Dwie młodziutkie blondynki siedzą na ławce w Parku Staszica. Jest wczesna wiosna jak teraz. Rozkwitają kasztanowce. Ciocia Ania zdaje się bardziej obyta, modnie ubrana w sukienkę w maki z dzwoniastymi rękawami i koturny, spogląda figlarnie spod pomalowanych rzęs prosto w obiektyw. Moja mama bez makijażu, w swetrze w serek i plisowanej spódnicy zaciska dłoń na podniszczony torebce. To musiał być jej pierwszy wyjazd do miasta, myślę, gdy nagle dziki chichot rozlega się za kioskiem. Podbiega do mnie grupa nastolatków. Na moją głowę spadają kubły lodowatej wody.

Przed jedenastą, pod koniec zmiany w McDonalddie, Starszy Lajboś wpada zdyszany do pokoju załogi.

– Pamiętasz tamtą noc, gdy siostrzyczki cię naszprycowały i wyrzuciły z zakonu? – zwraca się do mnie.

– Powiedzmy, że pamiętam, Lajboś.

– Zawiozłem cię taksówką do ciotki Jadzi i potem robotę na lobby załatwiłem.

Wzruszam ramionami.

– A tego, żeś mnie kiedyś zostawiała samego na przystanku, nigdy ci nie wypominałem.

Wzruszam ramionami.

– No ale teraz sprawę mam.

– Słucham.

– Ty byś nie przechowała kilka dni u siebie na chacie jednej takiej laski?

– To twoja dziewczyna?

– No, powiedzmy. Wiesz, kwasy są, bo sypia tu na zapleczu na kartonach po tym, jak matka wywaliła ją z domu.

– A ile ona ma lat?

– Osiemnaście.

– Jedzie mi tu czołg?

– No sorry. Pomyliło mi się. Ma szesnaście.

– A czemu ty jej nie weźmiesz do siebie?

– Powaliło cię? Chyba nie pamiętasz moich starych.

Ani myślę ukrywać nieletnią dziewczynę w wynajętym mieszkaniu, ale kiedy pewnego wieczora zapłakana, przemoknięta do suchej nitki nastolatka puka do mych drzwi, nie potrafię jej wyprosić. Kasia, tak ma na imię, szybko się u mnie rozgaszcza: w dzień śpi lub wymiotuje, a wieczorami, po opróżnieniu lodówki, kosmetyczki oraz mojego portfela z drobnych, wybywa na dyskotekę do Wakansu. Starszy Lajboś rzadko ją odwiedza, za to co kilka dni wpada do nas czterdziestoletni wujek dziewczyny, który jest wikarym w jednej z podczęstochowskich parafii. Częste wizyty księdza nie są dla mnie niczym dziwnym, bo sama mam duchownego w rodzinie, który jest kuzynem mojego dziadka

i szanowanym proboszczem, więc nie zwracam uwagi na to, co dzieje się w mieszkaniu podczas mojej nieobecności.

Pewnej soboty źle się czuję w pracy i postanawiam wcześniej wrócić do domu. Przekręcam klucz w drzwiach i staję w przedpokoju jak wryta. Kasia owinięta w ręcznik siedzi na materacu, opierając nogi o taboret. Obok, na podłodze, klęczy półnagi, ochlapany pianą wikary i goli dziewczynie prawą łydkę.

– Prze-pra-szam – jąkam i potykając się o rozrzucone ubrania, wychodzę do kuchni, gdzie przez uchylone drzwi podglądam, jak Kasia z wujkiem pakują się w pośpiechu i wybiegają z mieszkania.

Przed południem zaglądam na chwilę do dziekanatu, gdzie obojętnie przyjmuję wiadomość o przydziale akademika. Po powrocie do mieszkania czytam notatki na zajęcia i piszę pracę o Stefanie Grabińskim. Pisarz z Galicji chorował na gruźlicę, budził się w środku nocy, włóczył się po dworcowych halach, zasypiał na ławkach, zaglądał do starego kasyna kolejowego gawędził z konduktorami i w stanach podgorączkowych spisywał anegdoty kolejarzy, tworząc opowieści grozy o pociągach-widmach, halucynacjach, zagubionej stacji, ślepym torze, gdzie jak w trójkącie bermudzkiemu ginęli podróżni, o fantasmagorycznym olbrzymie Smoluchu, który pojawiał się w pociągach, wywołując katastrofy kolejowe. Czytam i myślę o częstochowskim dworcu, gdzie spotkałam matkę Stanisławę, Cynga opowiadał mi o Pacynie, gdzie Waldek czeka na swoją Adelkę. Jak pisze Grabiński, bujne życie dworców ujęte jest w zbyt ciasne ramy, przelewa się więc rytmicznie poza nie. Chaotyczny gwar pasażerów, nawoływania tragarzy, gwizd świstawek, szum wypuszczanej pary zlewają się w zawrotną symfonię, w której traci się siebie, oddaje zmałą, ogłuszoną jaźń na fale potężnego żywiołu, by niósł, kołysał, odurzał. W końcu z powodu zaawansowanej gruźlicy wycofał się z życia, zamieszkał w Brzuchowicach, podlwowskiej miejscowości kuracyjnej, gdzie, jak Pacyna z Częstochowy, godzinami przechadzał się wzdłuż torów w stronę Zawadowa.

Słuchając radia, zasypiam. Wpół do piątej zwlekam się z materaca, biorę prysznic i przebieram się w uniform. Do kieszonki białej bluzki przypinam złotą plakietkę hostessy, na której w przeciwieństwie do kolegów z pracy nie mam żadnej gwiazdki, splatam włosy w dobierany warkocz i idę do pracy.

Godziny na lobby się dłużą. Tace spadają na podłogę. Hel, którego nawdychałam się, pompując baloniki, pozwala mi wytrzymać do końca zmiany. Po zrobieniu dwóch okrążeń sali, kilku przechadzkach z pickerem na zewnątrz restauracji oraz trzykrotnym rekonesansie toalet, gdzie na zarzyganej umywalce leży spinka do mankietu, modłę się, żeby menedżer zmiany nie zawołał mnie na frytki. W końcu, zmęczona, potrącam tacą alarm przeciwpożarowy.

Rozpoczyna się ewakuacja restauracji. Menedżer zmiany biegnie do drzwi i otwiera je na oścież, prosząc, żeby wszyscy spokojnie opuścili salę i wyszli na ulicę. Najpierw matki z dziećmi, potem reszta. Stoję jak sparaliżowana i tak mocno ściskam balon z wykrzywionym wizerunkiem Ronalda McDonalda, że pęka z hukiem, co wzmaga panikę. Jeden z nastolatków kradnie lunch z sąsiedniego stolika i wrzuca go do swojej reklamówki. Młoda matka, nie mogąc rozpiąć pasków fotelika, w którym siedzi jej kilkumiesięczna córeczka, nerwowo szarpie dziecko i pewnie zwichnęłaby mu rączki, gdyby jakiś mężczyzna nie podbiegł i nie pomógł odblokować jej klamerek.

Prześlizgnięta fryturą, półżywa i zwyzywana przez menedżera zmiany od melepety, bladej dupy i niemrawej pizdy, ledwo widząca na oczy, z włosami oprószonymi kryształkami soli, wychodzę z pracy i siadam na Kwadratach przy Megasamie. Palce śmierdzą mi domostosem. Sól jątrzy rany po oparzeniach na przegubach. Jest tak cicho, że słyszę, jak deszczówka spływa strumieniami do studzienek kanalizacyjnych. Postanawiam, że w następnym miesiącu po odebraniu wypłaty zrezygnuję z pracy w fastfoodzie, wypowiem kawalerkę i przeprowadzę się do akademika albo wyjadę z Częstochowy. Moje dni niebezpiecznie się na siebie nakładają, tworząc pętlę, która coraz mocniej się zaciska: wykłady-ćwiczenia-praca, wykłady-ćwiczenia-praca. Między nimi otumaniające dni tęsknoty za panem Kamilem, który ze względu na chorobę matki często wyjeżdża do Katowic. Demony pożądania oraz irracjonalny strach przed zbliżeniem zmieniają się z czasem we mnie w mieszankę wybuchową. Napięcie erotyczne powoduje zawroty głowy i ból brzucha. Choruję na niego i moje palce tęsknią. Zasypiam, myśląc o nim, tak podniecona, jakbym pół nastoletniego życia była częścią eksperymentu maratonu tantry. Jego dłonie są delikatne, ale stanowcze, palce jak u Paganiniego, usta zmysłowe i pełne. On piękny i pewny siebie Świętowit, ja cicha i zagubiona w mieście wiła.

Aby się uspokoić, postanawiam zajrzeć na Jasną Górę, przyjrzeć się pielgrzymom, pooddychać powietrzem klasztoru i potęsknić

w spokoju za panem Kamilem i siostrą Anną. Przy bramie Lubomirskich mijają mnie jakaś para. Odwracam się i rozpoznaję Kasię. Za nią, z dzieckiem w nosidełku, drepcze barczysty facet z wygoloną głową. To Piotrek.

Po dwudziestej trzeciej wychodzę z pracy i skręcam na opustoszałe Wały Dwernickiego, by przejść tamtędy przez ryneček pod dwa bliźniacze wieżowce przy ulicy Lelewela. Przy mięsnym słyszę jakiś hałas przypominający uderzenia zelówek o asfalt. Zdenerwowana, przyspieszam kroku. Wnętrze pustego sklepu mięsnego tli się sinymi światełkami. Na ścianie pod srogim obliczem Matki Boskiej Częstochowskiej, portretami Lecha Wałęsy i Jana Pawła dyndają na haku sznury parówek. Odwracam wzrok. Cienie dwóch postaci wyłaniają się zza węgła. Naprzeciw mnie stają dwaj skini w kominiarkach. Ubrani we fleki z pomarańczowymi podszewkami wyglądają jak biesy, które wylazły na żer z ciemnej pieczary.

– Ty, ja pierdołę. To przecież panna tego buca, Piotrka z naszego bloku, co cię pogonił, gdyżeś się na klatce do tej jego kuzyneczki Kaśki dobierał.

– Że co?

– Noż, kurwa, przyjrzyj się dobrze, stary. Nie poznajesz jej? Przecież to ta sama kręcona blondyna, która stała z nim przed kinem, gdyśmy zeszłej jesieni rozpierdalali miasto.

– Ty, masz rację. Teraz poznaję.

Ten wyższy przyskakuje do mnie, próbuje złapać mnie za lewe przedramię, żeby wciągnąć mnie w cuchnący sikami i pleśnią kąt za śmietnikiem, gdzie w bumboksie rzezi nazistowski hymn.

Chcę krzyknąć, ale nie potrafię. Głos zamiera mi w krtani. Uchylam się łysolowi i uciekam w stronę torów, gdzie zatrzymuję się przy siatce na wysokości filharmonii. Przetykam ślinę i pochyliwszy się odruchowo do przodu, obiema rękami chwytam białą barierkę. Skin podbiega, szarpie. Pękają haftki w mojej budrysówce. Drewniane kołki spadają na trawę. Ból przedramienia zamracza mnie na kilka sekund. Od strony filharmonii pulsują światła pociągu, prześlizgują się przez siatkę i osiadają patyną na liściach osik. Zaśmiecony fragment rynku zmienia się na chwilę w oświetloną arenę cyrku. Kiedy już nie wytrzymuję bólu, a moje dłonie zaczynają się osuwać z barierki, od strony Biznes Centrum wychodzą rozbawieni mężczyźni. Między nimi kroczy, stukając obcasami o beton, wystrojona ciemnowłosa kobieta, wsparta na

przedramieniu kulejącego, niewysokiego jegomościa w kaszkiecie.

To przecież Waldek, przemyka mi przez myśl.

– Natka, *smotri!* – drze się na całe gardło Aleks, aż łysol, który mnie szarpie, podnosi łeb i spogląda w jego stronę.

– *Wot czort!* – wtóruje mu Siergiej.

Natka, niczym doświadczona treserka lwów, daje znak wskazującym palcem. Bracia natychmiast rzucają się sprintem przed siebie. Łysole mnie puszczają i wycofują się w stronę ryneczku. W kącie przy śmietniku rozpętuje się bójka, w której przepici miastowi nie mają żadnych szans z chłopakami wychowanymi na poligonach Syberii. Przemykam oczy, a gdy je otwieram, skinów już nie ma. Zostają po nich tylko plamki krwi, podeptane kominiarki, śrubki, klapki i sprężynki bumboksa rozsypane przy bramie.

– *Mudaki!* – Siergiej spluwa na chodnik i przydeptuje mokasynem klapkę bumboksa, która huśta się pod jego nogami.

– *S toboj wsio w poriadkie?* – pyta mnie Aleks, a potem sprowadza z kładki. Nie odpowiadam, nie mogę wydusić słowa. Wciąż kurczowo ściskam dłonie i rozluźniam je dopiero wtedy, gdy zbliża się Waldek.

– No już, studentka, już po wszystkim. – Klepie mnie po plecach. Róża wytatuowana na jego dłoni miga mi przed oczami. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że pojawienie się ludzi z Węgi na Wałach nie jest przypadkiem. Wciąż milczę. Natka ujmuje moje zdrtwiałe dłonie, na których nadal lśnią odpryski lakieru i przykłada je do swoich upudrowanych policzków.

– Nie można tak po nocy wałęsać się po mieście. Na szczęście my przyszli w samą porę. – Trąca końcówką francuskiego tipsa czubek mojego nosa.

Chcę coś powiedzieć, podziękować, ale nie mogę wydusić słowa. Pochylam tylko głowę i zerkając na dwa kremowe wieżowce, przypominam sobie o umówionym spotkaniu z panem Kamilem. Zanim nadjeżdża kolejny skład, odwracam się i szybkim krokiem skręcam w stronę bloków.

– Odwiedź nas kiedyś w Wedze, studentka! – wykrzykuje za mną Waldek.

– Wpadaj do nas, kiedy tylko chcesz i wybacz mi wszystko –
dodaje ciszej Natka.

– *Mudaki* – powtarza Siergiej, zagapiony w ciemną bramę,
a potem jeszcze coś dodaje, ale jego słowa zagłusza łoskot
przejeżdżającego pociągu.

Pan Kamil oparty o fiata czeka na mnie przed blokiem.

– Nie mów, że znowu zatrzymali cię w pracy? – pyta poirytowanym tonem i podaje mi storczyk z naderwaną wstążką.

Zamiast mu wszystko opowiedzieć, staję na schodku przy drzwiach wejściowych do bloku i całuję go tak namiętnie, że zatacza się i niechcący naciska plecami przyciski domofonów. Z głośnika odzywają się mrukliwe głosy pobudzonych lokatorów. Rozbawieni pędzimy na czwarte piętro. W mieszkaniu robię mu herbatę Earl Grey i włączam radio, w którym Peggy Lee dostaje gorączki z miłości: *Sun lights up the daytime. Moon lights up the night.* Przygaszam światło, zostawiając zapalony jeden kinkiet i jak nigdy w jego obecności idę do łazienki wziąć prysznic. Wracam po kwadransie przebrana w piżamę, nasmarowana oliwką i wyperfumowana resztką miniaturki Dolce Vity. Mijając go, muskam dłonią plecy i staję przy oknie za firanką. Księżyc wybija się z ciemności i wisi nad miastem okrągły i lśniący jak sromotnik.

– Dziś św. Jerzy poskramia wilki grą na skrzypcach – szepczę do siebie, ale pan Kamil to słyszy.

– Siostrzyczki żywotów świętych ci naopowiadały? – pyta rozbawiony. Odwracam się w jego stronę, nie wychodząc zza firanki.

– To stara huculska legenda.

– Tak? – Robi dwa kroki do przodu jak w paso dobre. – Dzisiaj jest pełnia, to znaczy, że wilki ją spałaszują?

Nie odpowiadam. Tiul łaskocze mnie w policzki. Robię dwa kroki do przodu tak jak on i staję w prążkowanym świetle zakolu. Pan Kamil powoli odchyła firankę jak welon panny młodej, głaszcze mnie po głowie, czym znów wskrzesza iskierki w naelektryzowanych włosach, a potem wkłada dłoń pod piżamę i delikatnie pieści moją lewą, mniejszą, ale bardziej wrażliwą pierś. Odsuwam się. Być może z powodu wydarzeń na Wałach potrzebuję jeszcze chwili na ochłonięcie. Spoglądam na swoje dłonie. Pod paznokciami wciąż tłą się platy białej farby jak skrzydełka bielinka. Lęk pulsuje pod obolałą skórą na przedramieniu, zarumienia policzki. Adrenalina wzmagą podniecenie. Stoję przez chwilę

skupiona, z błyszczącymi oczami, jak pantera szykująca się do ataku, ale nie wiem, co zrobić. W końcu on nie wytrzymuje, bierze mnie za rękę i prowadzi do stołu. Zsuwa mi spodnie piżamy, sadza na blacie. W ciemności słyszę dźwięk sprzączki paska od spodni uderzającej o drewno. W końcu strach mija. Obejmuję go udami w pasie i pomagam dłonią wejść we mnie.

Potem czuję już tylko rytm, rytm, który wrzuca moje nastoletnie ciało w ciemne i ciepłe głębiny. Jego język jest mięsisty i delikatny. Włosy łonowe poskręcane i miękkie. Pieprzyki na podbrzuszu jak oś Wielkiego Wozu. Żołądź atłasowa i słodko-gorzka w smaku. Spojrzenie dzikiego stworzenia przenika mnie, pochłania, wnika we mnie i w ostatnim spazmie staje się mną.

Godzinę później leżę naga pod kocem i niewiele pamiętam z tego, co się wydarzyło. Boli mnie w środku, choć nie tak, jak się spodziewałam. Pierwszy seks zakochanych, myślę, którzy czekają na siebie tyle miesięcy, jest jak spływ wartką rzeką albo skok w nurt wodospadu.

Kocham cię – powtarza, gdy bierze mnie na materacu, na podłodze i przy ścianie. Po wszystkim mnie przytula i mocno całuje w czoło. – Jest w tobie coś, czego nie potrafię nazwać. Co mnie do ciebie przyciąga. Jakaś dziwna cecha, powiedziałbym. Bywasz czasem bardziej zwierzęca niż ludzka. Jesteś jak ta Podolanka wychowywana w piwnicy, czy dziecko natury Rousseau, masz dodatkowy zmysł, który z jednej strony oddala cię od ludzi, ale z drugiej do nich zbliża i pozwala w nich wejrzeć. Prawda?

Ale bajeruje, myślę i przypominam sobie ten dzień, kiedy pierwszy raz przyjechał fiatem zaraz po poświęceniu pól, gdy za kapliczkami dogorywały powiązane wstążkami i połamane gałęzie bzu i osik. Była niedziela. Wysiadł z fiata i poślizgnął się na mokrej trawie. Obserwując go przez pękniętą szybę okna na strychu, roześmiałam się.

Dziadek po śmierci babci załamał się i sprawiał wrażenie niedostępnego. Całymi dniami kopał kamień albo błędził po polu. O dziwo, mimo żałoby polubił wizyty pana Kamila. W niedzielę przebierał się w odświętny garnitur i dumny, że ktoś chce spisywać jego przyśpiewki, uchylał drzwi izby pogrzebaczem i wołał: „Dziółcha, leć na drogę i zobacz, czy jedzie już tyn miastowy”.

– Gdy przestałeś do nas przyjeżdżać, codziennie wychodziłam na drogę, żeby sprawdzić, czy nie widać na górze twojego fiata – wyznaję. – Wydaje mi się, że specjalnie wybrałam filologię polską w Częstochowie, żeby cię tu odnaleźć.

– Chciałem przyjeżdżać. – Siada na materacu i po omacku szuka ręką porzuconej na podłodze zapalniczki. – Ale twoja matka...

– Moja matka? – przerywam mu zaskoczona i jako ta lepiej widząca w ciemności podnoszę z podłogi zapalniczkę. Krzemień iskrzy. Jasnoblękitny ogienek rozświetla jego twarz.

– Pod koniec wakacji zatrzymała mnie przy krzyżówce i dała do zrozumienia, żebym się więcej nie pokazywał u was w domu, bo jestem, jak stwierdziła, dla ciebie za stary i żonaty.

– Żonaty?

Robi mi się słabo, więc opieram się o chłodną ścianę. Próbuje oddychać, ale powietrze w pokoju tężeje i staje się chropowate,

drapie mnie w gardło i utyka w przełyku. To dlatego tak często wyjeżdżał do Katowic: do żony, a nie do matki, myślę.

On zauważył, że pobladałam, i wyprowadza mnie na balkon. Siadamy naprzeciw siebie na plastikowych fotelach. Pan Kamil, zerkając na mnie raz po raz, zachłannie pali papierosa i strzepuje popiół na podjazd przy bloku. Ogniki przecinają ciemność i spadają prosto na beton.

Wracamy do pokoju, gdzie długo opowiada o sobie, wtajemniczając mnie w kolejne etapy życia: dzieciństwo w bloku, studia, starsza siostra, która wyjechała za granicę, zapracowana matka i wreszcie ojciec, który w osiemdziesiątym pierwszym zginął podczas pacyfikacji kopalni Wujek.

Wysłuchana w rytm jego nieskładnej opowieści, zerkam za okno. Za szybą coś tężeje i zdaje się zamykać nas na zawsze w dusznej, wypełnionej zapachami naszych ciał przestrzeni.

Pan Kamil leży obok mnie na materacu zawinięty w prześcieradło, jakby wygrzebał się z całunu. Na jego twarzy błąka się uśmiech. Od wielu tygodni spotykamy się w weekendy. Przynosi mi prezenty: książki, koronkową bieliznę, biżuterię, perfumy, firmowe ubrania, które przymierzam i układam w pudle na dnie szafy.

Jest ode mnie dziesięć lat starszy, myślę, przyglądając się jego twarzy z chirurgiczną precyzją, ale dokładnie taki mi się spodobał: z kurzymi łapkami, bruzdami przy nosie, wiotczącą skórą na szyi i pierwszymi siwymi włosami w ciemnobrązowej czuprynie. Jestem przekonana, że gdyby był młodszy, nie zwróciłabym na niego uwagi.

Niepokorne myśli niszczą urok wspólnej nocy. Zastanawiam się, czy mogłabym spędzić z nim całe życie. Zagapiona w ścianę, gdzie między prętami bambusowego kwietnika drży w przeciągu pajęczyna, ku swojemu zaskoczeniu zaczynam myśleć o Piotrku. A więc Kasia nie była dziewczyną, tylko kuzynką Piotrka? Przypominam sobie słowa jednego z łysoli, którzy kilka tygodni wcześniej zaatakowali mnie na Wałach Dwernickiego. Żal wywołuje skurcz w żołądku. Przyciskam twarz do poduszki i pozwalam łzom wsiąknąć w poszewkę.

Gdy się uspokajam, wspominam ten letni dzień, kiedy starsze kuzynki z Siemianowic zabierają mnie na kąpielisko Fała w Chorzowie. Pławimy się pół dnia w ciepłej wodzie. Żadna z nas nie wspomina słowem o tym, że gdzieś w pobliżu, w parku, o świcie, w drodze do pracy nieznanymi sprawcami zamordował starszą siostrę mojej mamy, ciotkę Anię. Tę sprawę dawno umorzyły gazety, ale ja nie potrafię zapomnieć.

Pewnego dnia mama dostaje pocztówkę z Kanady podpisaną imieniem siostry: „Andzia”. Blednie, przez chwilę wpatruje się z przerażoną miną w panoramę Toronto i wrzuca widokówkę do pieca. Chcę ją powstrzymać, wyciągam dłoń, ale papier już płonie na rozżarzonych bryłkach koksu i zwija się w brunatny rulon. Mama zamyka się w stołowym, połyka relanium i okryta kapą, łąka na wersalce.

– Przecież ona tam była, była w kostnicy! – krzyczy. – Widziałam

ją i rozpoznałam na identyfikacji. – Chwila zwątpienia. – A jeśli to nie było jej ciało, tylko kogoś do złudzenia podobnego? Przecież było lato, upał, gdy dzieciaki grające w nogę znalazły ją w parku Śląskim.

Słońce przenika niecki basenów, zmienia zapach i kolor naszych młodych, pachnących chlorem ciał, rozprasza się na pomarańczowych kortach tenisowych, podważa żarem wieżowce i w końcu nabija się na maszt wieży telewizyjnej.

Trzymamy się z kuzynką za ręce i skaczemy do wody tak rozbawione, jakby nic się nie wydarzyło kilka lat temu, jakbyśmy znów ufały światu.

Tuż przed zamknięciem Fali idę pod prysznic, stoję w brodziku i odkręcam kurek z zimną wodą, żeby spłukać z ciała chlor. Z natrysku cieknie lodowaty strumień, ale ja, zamiast spodziewanego chłodu, prawdopodobnie z powodu krótkotrwałego szoku termicznego, który zwodzi moje synapsy, czuję na skórze bolesny wrzątek.

Jesteś, dziółcha, jesteś? – Słyszę głos dziadka Władka, rozglądam się po pokoju. Przy uchylonym oknie nadyma się zasłona. – „W polu spać, w polu spać i w polu nocować, choćby było co jeść, choćby było co jeść, nie ma w czym gotować”, tak my śpiewali we wrześnieu z pułkiem piechoty, gdzie żem w drugiej kompanii strzelcem był. Teraz nie idzie spać w polu. Ja od razu wiedział, że to tak się skończy, jak przestali my kosić. Siła chłopą przyszła, melioracje zaczęli robić, wiercić, to rzeczka, co szła przez nasze pole, zaraz wyschła i święte źródółko tyż. Ino patrzeć, jak krzyże zdejmą i nie będzie nawet gdzie iść na poświęcenie pól. A kto teraz chodzi na poświęcenie pól? Młodzi to teraz fiu-bździu. Jak się pszenica wybiła w maju, dziółcha, jak to wyglądało? Hektary się falowały. Pole jak płachta płynęło w majowym wietrzyku i człowiek tyż się unosił, i ciężar spadał mu z serca. A pod koniec maja krzyże się stroiło. Z gałęzi bzu i olch ołtarze. Kobity kapy przynosiły, kwiotki i wstążki, ale nam nie o te stroiki szło, ino o coś wincy. Człowiek zasiał pole, w polu spał, człowiek i święcił pole, a dziś ino dyszcz siecze kapliczkę. A teraz to już po ptokach. W kamionkach czort się zasiał, poharatał Hektary. Sny złe same. Beboki się w nich pałętają. Ty wiesz, co ja się na Sarni Stok nałaził, na Świnice, na Koziegłównki, a oni teraz powiadają, że to nie Sarni Stok, ino Rzeniszanka na mapie, ale ja w głowie inno mapę mam. Wszyndzie trafię z zamkniętymi oczami. Tam, gdzie teraz idę, dziółcha, mapy mi nie trza. No to czas na mnie. Strzyko mnie w kościach i w duszy. Tyle tylko żem se wyszedł na chwilę i z tobą pogodoł, i na pole popatrzył. O tam, w ogródku pod oknem kwitł łubin, w rogu grusza była, a tam, w tych krzakach tarniny, twój ojciec chował się przed milicyją. Tfu! A tu kopy z kamieniem żem stawiał, a tam był sad, co go nie ma, bo go burza zabrała, ale ja go widzę, bo jak się człowiek zapatrzy, to wszystko dojrzy. Plewa jesteśmy, plewa, rozumiesz, w pryndze światła, co wcieko przez synk wybity w desce do cimny stodoły.

No to bywoj, dziółcha. Niech ci się darzy na szczęście, na zdrowie, niech ci się mnoży pszynica i groch, w każdym kątku po dzieciątku, we dworze i w komorze, na kołeczku i w woreczku.

Kiedy ptaki zaczynają trajkotać, budzę się zmęczona, ponieważ podczas ostatniej nocy spędzonej w kawalerce na osiedlu Lelewela, kilka dni po rozstaniu z panem Kamilem, nie mogłam zasnąć, a potem miotałam się w pościeli do dziewiątej, przypominając sobie wszystkie lata spędzone w Częstochowie, dzień po dniu, chwila po chwili, Natkę Roszenko, Aleksa, Siergieja, panią Ludmiłę, Waldka, o którym wciąż wolałam myśleć jako o strózu gawędziarzu, matkę Stanisławę, siostrę Zytę i przede wszystkim Piotra i siostrę Annę, za którymi najbardziej tęsknię.

Czy to wszystko wydarzyło się naprawdę? W ciągu trzech lat, od dnia, w którym wysiadłam na dworcu, żyłam jak poczwarka związana opłotem; szłam z walizką, pozwalając po drodze, by inni wybierali dla mnie rolę, dyrygowali i wyznaczali kierunek dalszej podróży.

Układam kopertę z ostatnim czynszem obok cukierniczki za szymbarkiem, podnoszę słuchawkę i zamawiam taryfę na dworzec, a potem wychodzę do łazienki umyć się i pomalować. Spoglądam w lustro. Usta mam spuchnięte, policzki pokłute zarostem, na szyi bordowieją malinki. Pan Kamil zwrócił mi ciało, o którym wolałam wcześniej zapomnieć. Mimo że minęło kilka miesięcy od wydarzeń na Wałach Dwernickiego, wciąż pobolewa mnie lewe przedramię. Księżyc dyktuje na prześwitach lustra ostatnią partyturę. Woda z kranu kapie rytmicznie: kap, kap, *Kaprys a-moll*. Na pewno tę melodię Paganiniego gra dziś św. Jerzy. Niewidzialne smyczki szarpią struny. Dobiegła mnie muzyka skrzypiec, ale nie chcę się w nią wsłuchać, poddać się jej czy choćby zanucić melodię.

Zaciskam dłonie na zimnej emalii, a potem krzyczę – najpierw niepewnie, jak przestraszone dziecko, które zgubiło się w lesie i przerażone woła matkę, potem głośniej i głośniej, a na koniec tak, żeby usłyszał mnie cały blok, pół dzielnicy i wszystkie trzy Aleje razem z Jasną Górą wzięte.

Nota

Dziękuję pani Anicie Musioł i Filipowi Modrzejewskiemu, którzy przyczynili się do wydania tej książki.

Szymonowi Grzegorzewskiemu, Urszuli Chowaniec i Justynie Czechowskiej za wszelkie wsparcie; Jakubowi Winiarskiemu za porady warsztatowe; Aleksowi Kornowskiemu, Włodkowi Grabowskiemu, Michałowi Grzegorzewskiemu za wspomnienia.

Michalinie Grzegorzewskiej, Dorocie Steinhagen, Wojtkowi Kowalskiemu, Asi Sidorowicz, Piotrowi Krasowi, Katarzynie Bruszewskiej, Marii Malus, Justynie Bartosik, Karinie Balskiej, Ewie Oleś, Januszowi Pawlikowskiemu, Marcie Smoleń-Sidyk, Katarzynie Jakubiak, Basi Surmackiej, Konradowi Ludwickiemu oraz wszystkim, którzy udzielali mi konsultacji, ale ich nazwisk nie mogę wymienić.

Fragmenty monologów dziadka Władka ukazały się w moim eseju opublikowanym na łamach miesięcznika „Znak” (nr 714/2014).

Opowieść o spotkaniu babci Stefanii z oficerem Wehrmachtu opublikowałam w wyborze wierszy i próz *Wzory skończoności i teorie przypadku* (Arc Publications, Todmorden 2014).

¹ Zamek – w żargonie więźniów określenie dobrze strzeżonego więzienia.

W *Stancjach* został przytoczony fragment wiersza Narcyzy Żmichowskiej *Młodemu artyście*
nieużyteczna przestroga [W imionniku].

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Jan Koźbiel

Korekta: Ewa Waszkiewicz, Zuzanna Żółtowska

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Igor Ustynskyy / Moment / Getty Images

Projekt typograficzny i łamanie: Robert Oleś / d2d.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4687-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo